Nr. 7. Lwów, dnia 20. lipca 1896. Rok XIX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

NIEDŹWIEDŹ.

Napisał Władysław Spausta.

IV.

Niedźwiedź w dziejach łowiectwa polskiego. — Smorgonie. — Skomorochy. — Niedźwiedzie hece. — Oszczepnicy. — Martyrologia łowów niedźwiedzich.

W jednostajnej puszczy leśnej, przetrzebionej gdzieniegdzie „opolami rzadkich osadników“ — jaką była przeważna część ziem naszych jeszcze u schyłku tysiąclecia naszej ery — był niedźwiedź najniezawodniej mieszkańcem dość pospolitym. Wszak i dzisiejsze zwierzostany niedźwiedzie wskazują, że jest on mało wybrednym na stosunki siedliska, i zamieszkuje równie chętnie zaciszne moczarowate knieje nizin, jak suche bory górskie. Dla wielu gatunków zwierząt, a także i dla niedźwiedzi nieprzystępne i słabo zaludnione pasma górskich kniei stały się z czasem schronieniem z konieczności, pozostał wszakże niepowstrzymany pociąg do wędrówek i zajmowania nowych siedlisk na dołach. Ale minęły już na zawsze piękne czasy — nieprzekraczalne granice postawił tam socyalno-ekonomiczny stan kraju i środki nowoczesnego łowiectwa.

We wielu stronach kraju, gdzie zaginęły już wszelkie tradycye o innych nawet później zatraconych zwierzętach, występuje postać niedźwiedzia w kształcie bardzo popularnym; nietylko o „medwedjach“, „nedwedjach“, „stryjkach“, „wujkach“, „batkach“, mówi lud w paśmie wschodnich Karpat, nietylko o „Marusze“ rozpowiadają górale w zachodnim Beskidzie a Litwa i Żmudź o swim „Meszce“ — ale zna go i cała sarmacka dolina. O „Bartoszu“ w lasach mazowieckich coś niecoś jeszcze pomną starzy ludzie, a chłop ruski na dołach w każdej chwili gotów uwierzyć w pobyt niedźwiedzia w najbliższej kniei.

Do spopularyzowania niedźwiedzia przyczyniła się niemało pewna warstwa ludzi, którzy, wyzyskując komiczną i nieco pojętną figurę mysia, przypominali go ludowi na całym obszarze ziem i podtrzymywali tradycye o niedźwiedziach. Kunszt ułaskawiania i wyuczania rozmaitych figlów pojmanych kudłaczy, był od niepamiętnych czasów praktykowanym w rozmaitych stronach kraju, a pojętny uczeń albo dawał właścicielowi sposobność zarobku trwałego albo znajdował chętnych nabywców w możnych kołach.

Najsłynniejszem z tego względu było ongi miasteczko Smorgonie w powiecie oszmiańskim, województwie wileńskiem, dziedzictwo niegdyś Zenowiczów, które później dostało się Radziwiłłom jako miano Anny Zofii Zenowiczówny, kasztelanki płockiej, zaślubionej z ks. Albrechtem ordynatem na Nieświeżu w 1668. Mieszkańcy tej mieściny włóczyli się daleko poza granicami kraju ze swymi tancerzami, a gdy z czasem upadała świetność „Akademii Smorgońskiej“, żył w przysłowiu „Gagatek Smorgoński“ i coraz częściej po-

jawiali się wśród kraju Parmeńczycy, Hiszpanie, Wołosi, Cyganie, Węgrzy, Słowacy, wiodąc od wsi do wsi, więcej biedą niż sztuką ugłaskane niedźwiedzie ze swych okolic rodzinnych.

Podobnie jak na Litwie, istniały i na Rusi akademie niedźwiedzi, a profesorów zwano „Skomorochami“. Były to niewielkie osady pośród lasów, w których niedźwiedzi łatwo dostać było można. Lecz z czasem upadł i tutaj ten kunszt, wymarli Skomorochy, nazwa jedynie pozostała przy miejscowości, i pozostały rozmaite przysłowia, świadczące o prastarem tem rzemiośle: „Daje się za nos wodzić jak niedźwiednikowi“ albo „Wedut jak medwedja w tanec“ a wreszcie na finale kunsztu: „Niedźwiedź zdechł, dudy o ziemię“, po rusku: „Dudy ni na szczo, koły medwed zdoch“.

Znaczna część oprowadzanych niedźwiedzi dostawała się wreszcie do dworów możnych panów — gdzie utrzymywano je, stosownie do ich wychowania, albo w klatkach, albo na łańcuszkach w podwórzach, albo sposobiono je do rozmaitych funkcyj koło domu, a nawet trzymano w komnatach. Szczególniej panowie litewscy lubowali się w takim zbytku. Już w czasach Witołdowych groźniejsze okazy meszków utrzymywano po zwierzyńcach, a łagodniejszego usposobienia kudłacze przechadzały się wolno po podwórzach a nawet po pańskich komnatach. Wielki książę Zygmunt*) miał niedźwiedzicę, „która jakoby komornik przy nim legała, wchadzała i wychadzała od niego kiedy chciała“ (Bielski Kron. 360).

Bodaj szczupłe posiadamy wiadomości o dworach i życiu domowem książąt i panów, złączonych węzłami krwi z panującą dynastyą; znalazł się zawsze i w owych epokach jakiś historyograf, którego wzmianki rzucają niejakie światło na urządzenia ówczesnych sadyb tych panów. Natomiast życie i zwyczaje domowe wielu znakomitych rodów magnackich, rozsiedlonych wśród ogromnego pasma ziem rusko-litewskich, po większej części chyba tylko fantazya odtworzyć może. Wymarło tam mnóstwo historycznego znaczenia rodów — czas zniszczył domostwa ich, drewniane dwory i zamki, i tylko luźne wzmianki, rozrzucone w manuskryptach, lub niejasne tradycye pokoleń każą się domyślać zbytku i pompy charakterystycznej tych panów leśnych puszczy.

Podobnie jak po dziedzińcach zamkowych Sołohubów i Radziwiłłów przechadzać się musiały wolno i po innych dworach niedźwiedzie, budząc najwyższy podziw przybyszów i przypadkowych gości z obczyzny. Za życia księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, którego życzeniem było, aby go zwano „Rad żywił“, żywiono mnóstwo niedźwiedzi w zwierzyńcach — wyrabiano bulion niedźwiedzi — i było podostatkiem materyału, aby uczynić wybór dla ozdoby i urozmaicenia sadyb magnackich, gdy smak ówczesny czegoś podobnego wymagał.

To nie były pigmejskiej miary *Bärenzwingery*, jakimi się cieszyli panowie na zachodzie, ale wszystko szło na szeroką skalę, o której niejakie wyobrażenie dać może zapewne staraniem księcia Sierotki urządzony zwierzyniec w Białej, w powiecie Brzeskim, w t. z. Alba ducalis, gdzie według podań Rzączyńskiego utrzymywano samych danieli 600 sztuk, mnóstwo innego zwierza, mnóstwo niedźwiedzi i cały park służby rutynowanej i przyborów w celu przysposobienia wybranych kudłaczy do funkcyj jakie im przekazała fantazya panów niezmiernych puszczy. W ciągu lat doszedł tam do swego szczytu kunszt układania niedźwiedzi, a więcej podobno już żądać nie można od kosmatego puszczy mieszkańca. W odwiedziny do króla Stanisława zajechał pewnego razu niewyczerpany w swych konceptach książę Karol „Panie kochanku“ czterma niedźwiedziami. Po cyrkusowych scenach świata starożytnego może to jedyny a prawdopodobnie ostatni wypadek na ziemiach europejskich.

Z biegiem lat, gdy kolonizacya, osobliwie w zachodnich dzielnicach, coraz większe przybierała rozmiary, a przerwane pasma lasów hałaśliwymi niepokojono łowy, zwąchał zbyt prędko pismo nosem niedźwiedź i ściągał się w okolice, w których jeszcze ogromnych rozmiarów rozlegały się knieje, albo wytępionym został niezliczonymi sposoby, jakie całe społeczeństwo stosowało ku niemu. Był on ulubionym przedmiotem łowów wielkopańskich, a jako konkurent bytu i chleba, jako uprzykrzony wspólnik dzikiego bartnictwa, stanowiącego w dawnych czasach ważną gałęź gospodarczą jako wróg dobytku pasącego się po lasach — ściągał przeciw sobie całą nienawiść włościanina, który, mimo kar i grozy ówczesnego prawodawstwa łowieckiego, na każdym kroku wypowiadał mu walkę eksterminacyjną i spełniał niezawodnie na niedźwiedziu wymiar sprawiedliwości, jaki statut litewski przekazywał w II. wydaniu na „złapanego z licem pszczoł złodzieja“. Czekała go kara śmierci według art. XII. Przed wyrokiem zaś za kradzież barci szarpano jeszcze utartem przysłowiem ciało niedźwiedzia: „Medwedowy do medu ucha, a wid medu chwist urywaty“.

Prócz tego, że ciepłe, miękkie i lekkie futro zawsze było dobrze płaconym i pożądanym towarem, powikłał zabobon całą śmiertelną kreaturę mysia w swą sieć niebezpieczną. Żółć (*fel ursi*) sadło (*axungia ursi*) miały być środkiem przeciw paraliżowi, miały spędzać przepuklinę, a dla urozmaicenia także i łupież z głowy i weszły do średniowiecznej naukowej „kwakzalberyi“; mnóstwo zaś pretensyi rościli sobie także myśliwi i lud cały do pewnych części niedźwiedziego ciała. Mózg miał straszne własności, wywoływał u człowieka szaleństwo, a dla odmiany wzmacniał znów pamięć, oczy wyłupione i zawieszone tylko na lewem ramieniu leczyły kwartanę (ograszkę, czwartaczkę). W obec tych cudownych prawdziwie własności podrzędną już chyba tylko rolę odgrywała niedźwiedzia pieczeń — i cenione jako przysmak łapy — w każdym razie były to tylko przemijające przyjemności.

Już za czasów piastowskich rzadkim musiał być niedźwiedź w okolicznych puszczach Krakowa. Wskazują na to z jednej strony srogie kary za zabicie niedźwiedzia w leśnem prawie Mieczysława Starego, z drugiej zaś sama praktyka niedźwiedzich łowów tej epoki. Od czasu Bolesława Chrobrego sceną łowów tego rodzaju książąt i królów było podgórze karpackie, a orszaki łowieckie tychże zapuszczały się częstokroć aż na Podhale lub w głębokie Beskidy zachodnie.

Usnął według słów legendy orszak chrobrego króla w pieczarach tatrzańskich turni, zagnawszy się tam za maruchą — od lat chłopięcych zaprawiał tam swą rękę Bolesław Krzywousty — a niezliczone razy odbijały Tatry echa rogów łowieckich Bolesława Wstydliwego, który wreszcie, pozostawiwszy łowy na Podhalu wyłącznie dla siebie, odstąpił w 1255 r. opatom Szczyrzyckim swe prawa książęce aż po same Tatry.

Od granic Szląska począwszy całe pasmo podgórza karpackiego było jednym, ogromnym rewirem niedźwiedzim. Gdy się na chwilę przymknęły podwoje Janusowej świątyni i ucichł przeraźliwy dźwięk surm wojennych, spieszyły tam wnet książęce zastępy, otrzepawszy się z kurzów kresowej walki — niezliczone złaje psów osadzały tam kudłaczy do

---

*) Synowiec Władysława Jagiełły.

krwawej rozprawy, a muzyka kniei wygrywała sarmackim rohatynom i oszczepom fanfary tryumfu. Jakby do prawdziwego raju myśliwskiego ściągali się tu na książęce łowy również i cudzoziemcy — a wielu rytterów niemieckich, zagnawszy się w te strony, pozostało już na tej ziemi i w swoim języku chrzcili nowe osady wśród podgórskich puszczy nazwami, w których się uwieczniła charakterystyczna cecha przyrodnicza tego pasma ziemi.

Prawdziwym matecznikiem niedźwiedzi miała być niezmierna puszcza od Skawy aż do Raby. Tam Barwald (*Bärenwald*) i Myślenice — tam w towarzystwie Obidowej, Trubacza i Bukowiny, wznosi się do 700 metrów „Niedźwiedź“, piękna lesista góra nad źródłami Łopusznej -- w bok od Szaflar w Nowotarskiem „Maruszna“, a „Niedźwiedzia Hala“ obok Sarniego gronia pod Rohaczem — dalej na wschodzie ogromne knieje między Krościenkiem i Piwniczną — wieś Łapowa czy Łabowa z herbem niedźwiedziej łapy — kolonia „Barnowiec“ recte *Bärenau*, a za górą „Niedźwiedzi Potok“.

Jeszcze rozprzestrzeniały się niedźwiedzie rewiry, gdy wielcy królowie a niemniej sławni myśliwi z rodu Jagiellonów zasiedli na polskim tronie. W wielkim Bieszczadzie, w puszczach Małastowskich, borykały się myśliwskie orszaki Jagiełły i Witolda w 1394 r., a z Biecza posyłano dostojnym panom żywność i rozmaitą armaturę, gdy łowy nadspodziewanie długo się przeciągały. Pomiędzy innymi posyłano tam 10 widlic tj. oszczepów, specyalnie do łowów niedźwiedzich używanych, i 2 baryłki wina węgierskiego. Tam musiało się roić od kudłatych kolosów, tam „Bartne“, osada wśród puszczy wskazuje, że nader słodką dla Maruchy była kiedyś ta okolica, że rajskie powaby wciągały go coraz głębiej w tę jeszcze dziewiczą łowiectwa dziedzinę, gdzie poraz pierwszy odezwały się po górskich borach echa litewskiej trymilty (trąby). Zasmakowawszy dla odmiany powabów górskich łowów, przesiadywał Jagiełło w Pobieszczadzie wraz z swą Jadwigą, która polubiła Biecz i sąsiedztwo swej dawnej dworzanki Wąswoi, zamężnej ze Stanisławem Gamratem.

Im dalej na wschód posuniemy się w łańcuchu Karpat, tem głuchsza rozlega się puszcza, tem mniej osad, mniej pomników i śladów człowieka. Lasy — odwieczne lasy — skaliste debry, dokąd nie waży się wtargnąć noga śmiertelnika. Długo już przebiegały orszaki łowieckie zachodnie pasmo Karpat, wspaniałe zamczyska wzniosła wola możnych w tych dzikich ustroniach — w zacisznych dolinach wyrastały osady — a wschodnia część Karpat zachowała jeszcze nadal szatę archaiczną, i jeszcze po dziśdzień posiada najwięcej charakteru pierwotnych stosunków przyrody. Pięćset lat temu okolice Skolego, Tuchli i w ogólności gór stryjskich nie były zamieszkane przez człowieka, (Dr. Papé Skole i Tucholszczyzna) chyba jakiś szlak lub ścieżka, bieg potoku prowadziły wędrowca czy też orszak zbrojny przez te okolice. Jak w dniu stworzenia człowieka patrzeć tam nań musiały rozmaite bestye okiem naiwnego zdziwienia — konało wnet echo kroków inną myślą gnanych wędrowców, i znów nieograniczonym, spokojnym panem tych gór był niedźwiedź w czasie, gdy już od dawna chwiało się jego panowanie w zachodniem paśmie Karpat. Najniezawodniej i dalsze na wschodzie pasma gór były również podówczas słabo zamieszkane, i bodaj czy nie jedną z pierwszych większych osad w dzikim borze był słynny Skit Maniawski na Świętej górze przy szlaku, prowadzącym na Węgry do Szigetu, którędy, jak mówi geografia Kuropatnickiego z 1786 r. „liczne maże z prowiantem idą“. Początek tego monasteru odnoszono do legendarnej przeszłości. Niedawno jeszcze temu, bo w roku 1848, zdawało się Wagilewiczowi (Monastyr Skit w Maniawie str. 13), że fundacya ta sięga XIII. wieku, tymczasem w ostatnich już czasach na gruncie odnalezionych dokumentów (przez ks. A. Petruszewicza) sprawdzono, że założenie Świętej Góry Maniawskiej datuje się z pierwszych lat XVII. wieku.

Podgórza, gdzie ze starszych mioceńskich pokładów dobywały się źródła ropy solnej, dały niezawodnie już bardzo wcześnie pochop do zaludnienia; wytworzyły się tam osady — miasteczka — słobody, a zasoby najbliższych lasów pożerały w sposób najbardziej prymitywny urządzone „czyryny“ (panwie) do wywarzania soli. Z takich zaniepokojonych okolic wynosił się niedźwiedź w coraz głębsze góry niezamieszkane, gdzie tylko lasy i bory rozsiadły się na ogromnych, głębokich pokładach piaskowca, i dokąd sięgała ta jednostajna i wcale nie zapraszająca dla owych czasów szata przyrodnicza -- gdzie ostry klimat wzniesienia i grechoty szutrowe w głębi nikogo z ludzi nie wabiły.

Już za czasów Zygmunta Starego musiał być niedźwiedź bardzo rzadkiem zjawiskiem w pobrzeżnych nad Wisłą kniejach pod Krakowem, a nawet w słynnej do późna z innych łowów puszczy Niepołomickiej nie można go już było dostać na zawołanie, gdyż monarcha ten, chcąc w r. 1533 wyprawić swej małżonce spektakl łowów niedźwiedzich, meszkę litewskiego w klatce do puszczy przywieść rozkazał, przyczem odegrała się znana z kroniki Bielskiego tragikomedya (wyd. warszawskie 1764, p. 515) i spotkał się pomysł monarchy z dowcipną i śmiałą krytyką mądrego Stańczyka. Okropne zamięszanie wywołał tam meszka w orszaku królewskim, a w dodatku jeszcze przyprawił o zagubę jednego embryona ród Jagiellonów.

Podobne hece z niedźwiedziem, sprowadzonym ze stron innych lub utrzymywanym w klatce, nie były bynajmniej rzeczą wyjątkową, ale utartym i dość powszechnym zwyczajem, osobliwie na dworach książąt i magnatów na zachodzie. Z inwazyą obcokrajowców i z przyjęciem się mód zagranicznych na dworach innych, poczęto częściej praktykować tę wstrętną rozrywkę, i nietylko w kniei wyprawiano takie niesmaczne a drapieżne z niedźwiedziami hece. Współcześni mówią również o niedźwiedzich igrzyskach w arenach, gdzie przyglądano się z upodobaniem walkom niedźwiedzia z psami. (Światowa rozkosz, krotochwila).

W czasach o wiele już późniejszych używano częstokroć niedźwiedzi pojmanych jako narzędzia niewłaściwych i srogich żartów lub zemsty barbarzyńskiej. Słynny Samuel Zborowski, rozgniewany na Włocha Caudiana, miodem posmarowanego wrzucić kazał do niedźwiedziej klatki, ale herkulesowej siły Włoch zdławił niedźwiedzia i zawstydził rozpasanego wielmoża. (K. W. Wojcicki. Zwierzęta w Polsce).

O utrzymywanych na dworach naszych niedźwiedziach krążyły za granicą najpotworniejsze podania, a w 4-tym dziesiątku naszego stulecia opowiadała *Allgemeine Modenzeitung* oryginalną historyę, czerpaną niewiedzieć z jakiego źródła, w której nasz król Władysław IV. odegrał rolę bardzo niepocieszną i wcale nieprawdopodobną. Niejaki John Abell, śpiewak i artysta na dworze Karola II. w Anglii, wyemigrowawszy w r. 1633 po wybuchu rewolucyi i podróżując po Europie, zjawił się nareszcie i w Warszawie, gdzie bardzo drastycznym środkiem zmuszono go do koncertowania na królewskim dworze. Posadziwszy go w sali koncertowej na fotelu, wyciągnięto go ukrytą maszyneryą wraz z fotelem aż pod pułap sali. W tej chwili wszedł król z całym dworem, a zająwszy miejsce na galeryi, wpuścić kazał na salę ogromne niedźwiedzie, oświadczywszy śpiewakowi, że albo

śpiewać musi, albo pomiędzy bestye wrzucony zostanie. Śpiewak, widząc że nie żarty, począł śpiewać i przyznał później, że nigdy nie miał lepszego głosu.

Niezliczone są dykteryjki w piśmie i w tradycyi, świadczące o zdziczeniu obyczajów, w których widzimisiem rozpanoszenia kierowany brutal kudłaty nietylko do wywoływania humorystycznej krotochwili bywał używanym. Trudno dziś rozstrzygać, wiele tam prawdy, a wiele zmyślenia w tych podaniach — ale *vox populi* ma także coś za sobą, razi słuch niby struna fałszywa, i w celu złagodzenia przykrych stąd wrażeń każe chyba przesunąć wskazówkę chronometru moralności według pojęć minionych wieków.

* * *

Podobnie jak knieje okolic Krakowa, opustoszały wnet i najbliższe lasy, gdy przeniesiono tam rezydencyę królów. Jednym z pierwszych wychodźców z tych okolic, zaniepokojonych ustawicznemi wycieczkami dworzan i zgiełkiem w szerokich ziemiach około stolicy monarchy, był niedźwiedź, utrzymujący się tam długo pod ochroną despotycznej i srogiej judykatury książąt mazowieckich.

Nie mówiąc już nic o kniejach zaniemeńskich, o ogromnych obszarach łącznych puszczy w wschodnio-północnym paśmie ziem, gdzie się słynne na całą Europę znajdowały mateczniki niedźwiedzi, i gdzie pomimo ustawicznych na nie łowów zastały je nasze czasy — we wszystkich niemal większych obszarach leśnych, z wyjątkiem może zachodnich ziem, przetrwał niedźwiedź jako zwierz miejscowy w późne wieki, lub co najmniej zjawiał się często jako zwierz przechodni. Stąd też we wszystkich dzielnicach spotkać jeszcze można dość żywe tradycye łowów niedźwiedzich. Statystyk saski, zapisujący każde koźlę, każdego szaraka, który poległ z ręki (!) elektora Jana Jerzego I., wspomina śród zdobyczy strasznego Nimroda o 203 sztukach niedźwiedzi, ubitych w małej Saksonii od r. 1611—1653, a łowów tych dokonano w przeważnej części wśród strasznych dla tej krainy czasów — gdy szalały wiry okrutnej wojny — gdy zwycięskie chorągwie Torstensona przebiegały kraj a łuny pożarne nie gasły na widnokręgu.

Niestety nie mieliśmy tak drobiazgowych statystyków, diatego tylko domysłem możemy sobie uzupełnić to, co sie u nas i wcześniej i później dziać mogło na polu łowów niedźwiedzich, gdy całe armie mistrzów myśliwskich tonęły na długo w tajni niezmiernej mateczników zwierza. Doszły nas stamtąd zaledwie urywkowe jakieś wieści — ledwo pojedyncze strofki wielkiej łowczej rapsodyi wieków — resztę zgłuszyły donioślejsze cywilizacyjnej misyi dźwięki, to znów szczęk kresowych z najezdnikiem zapasów.

Zygmunt August, jeszcze jako wielki książe litewski, wiele czasu trawił na niedźwiedzich łowach w puszczach nadniemeńskich, tak, że wreszcie sarkać począł otaczający go dwór na tę namiętnie prowadzone i z wielkiemi niewygodami połączone wyprawy. Stefan Batory z pobliskiego Grodna częste urządzał wycieczki do puszcz nadniemeńskich, zaglądał do Białowieży — prócz „tura, woła polskiego, którego wszystkie ziemne kraje nie mają“, (jak się wyraża współczesny autor) pociągać musiały bohaterskiego króla niedźwiedzie tych puszcz — więc wśród gonitwy za meszką kudłatym zapominał na chwilę o cierniach korony. W łowach niedźwiedzich Batorego po raz pierwszy może poczęto używać broni palnej, jak to się można domyślać z wiersza Bielawskiego, w którym odzywają się poniekąd echa trąbki łowów Batorowych.

„I niedźwiedź nieogonny po drzewie do ula
Rychlej spadnie, niż tam wlazł, gdy go zajmie kula“. (Obrót VII).

W tych łowach, gdzie nieudolna jeszcze broń palna używaną była obok dawnych oszczepów, rohatyn i widlic, nie obeszło się bez tragicznych wypadków. W r. 1581, podczas królewskiego polowanie na Litwie, „srogi misiek“, jak niedźwiedzia nazywa Bielawski, poturbował mocno chłopa pazurami, tak, że trzeba było pieniądzmi zagoić rany, (Źródła dziejowe t. IX. B. str. 56), a przy sprowadzeniu niedźwiedzi do zwierzyńca krakowskiego, gdzie jeszcze z Zygmuntowskich czasów zachowały się nawet lwy, wielbłądy i t. p., znów misiek zamanifestował swą brutalną naturę, bo „cieślę obraził“, kiedy go do nowej klatki przepuszczano, i trzeba było pieniądzmi wynagrodzić ból pokrzywdzonemu (Źródła tom IV. str. 83). Inną parę niedźwiedzi sprowadzono z polecenia króla z okolic Tykocina na łodzi czy na tratwie i umieszczono ją w zwierzyńcu krakowskim.

Błędnem, jak sądzę, byłoby mniemanie, jakoby już w bliższych puszczach brak był niedźwiedzi podówczas, tak, że trzeba było je sprowadzać aż z graniczących z Litwą kniei mazowieckich; raczej decydować tu musiał najlepszy w owych czasach trakt wodny, Wisła, niemniej mistrzowstwo w chwytaniu żywych niedźwiedzi przez Kurpiów, mieszkańców tych puszcz odległych. Owszem, nie brak było tego zwierza w niezbyt odległych kniejach województwa Sandomirskiego, w puszczach Kozienickich, Żeleźnickich, Przedborskich, Jedlnickich, Rozwadowskich a wreszcie w lesistym łańcuchu Łysogór. O niedźwiedzich rewirach dalej na wschodzie położonych trudno coś szczegółowego powiedzieć, bo trzebaby chyba wyliczyć tu wszystkie większe kompleksy lasów. Jeszcze w XVII-tym wieku, a nawet u schyłku tegoż, znajdował się niedźwiedź niemal we wszystkich lasach o większych rozmiarach na Rusi Czerwonej i na Wołyniu.

W kniejach Pomorzańskich w t. z. Krasnopuszczy, nabytych przez Jakuba Sobieskiego, polował na niedźwiedzie hetman Jan Sobieski, a zagnawszy się w głąb kniei, spotkał tam pustelnika, który mu wyprorokował polską koronę. Z podaniem tem łączy się fundacya klasztoru Bazylianów w Pomorzanach.

W kniejach ziemi Czerskiej polował na niedźwiedzie jeszcze August III. i w tym celu przesiadywał często w myśliwskim zameczku w Otwocku na prawym brzegu Wisły. W lasach Świętokrzyskich niemniej w Augustowskich jeszcze nasze stulecie zastało niedźwiedzi — a miały się zatracić dopiero w r. 1820. To samo da się powiedzieć o wielkich kniejach mazowieckich, gdzie szczególna była obfitość pszczół dzikich po lasach. Wśród tego wielkiego bartnictwa na ziemiach Łomżyńskiej, Nurskiej, Rawskiej, Sochaczewskiej zatrzymał się długo w ludziach i w zwierzynie archaiczny charakter przeszłości. Około r. 1770 wielki łowczy koronny, Fr. Ksawery Branicki, ówczesny starosta Kampinowski, na łowach niedźwiedzich w tamtejszej puszczy przykrą miał przeprawę, i smutnie by się była skończyła, gdyby w chwili, gdy rozjuszony niedźwiedź rzucił się na przyszłego hetmana, nie powalił był zwierza celny strzał Pilawity Buczackiego. Za uratowanie życia obdarzony został szczęśliwy myśliwy zegarkiem z emaliowanym niedźwiedziem. Zegarek ten przeszedł później na własność p. Stenzla, dziedzica Duchenic pod Warszawą. (Reyman Gosp. łow. str. 6).

Podczas gdy w łowach wielkopańskich broń palna dawno już wyrugowało dawną białą armaturę, u biedniejszych klas pozostał do późna oszczep i widlice — a nieśmiertelny wieszcz nasz, przedstawiając scenę niedźwiedzich łowów z po-

czątku naszego stulecia, wkłada w ręce młodszego pokolenia broń palną, stary Wojski zaś, ten reprezentant dawnych łowieckich tradycyi, dzierzy oszczep i jemu tylko zawierza. A ileż to jeszcze takich Wojskich żyło podówczas w zaułkach Litwy? Ile to ludzi hartownej duszy i ciała liczyło społeczeństwo łowieckie, którzy podobnie jak bohater gawędy K. W. Wojcickiego, z kijem a raczej maczugą, jak zwał swą archaiczną broń niedźwiednik, występowali do walki z kudłatym kolosem rodzinnych lasów?

Gdy nie każdy niedźwiedź tak łatwo dał się przez psy osaczyć, a co najmniej długa walka wstępna wymagała wielkich ofiar z psiego życia — pancerzył myśliwy swych sojuszników, a oprócz tego specyalnie ku temu wyrabianemi sieciami z łyka lub z grubych sznurów starał się ubezwładnić lub powstrzymać niedźwiedzia. Sposób ten praktykowanym był jeszcze i po zaprowadzeniu broni palnej, a nawet i podziśdzień używanym jest w niektórych okolicach gubernii Mińskiej.

Praktyka, poznawszy się dobrze ze zwyczajami rozjuszonego niedźwiedzia na gruncie bardzo smutnych doświadczeń, wprowadziła od dawna druciane czapki dla myśliwych, niby to dla salwowania głowy, ku której przedewszystkiem sięgała łapa rozjątrzonego zwierza, skalpując w okrutny sposób myśliwego. Nie wiem, czy sposób ten stanowił rzeczywistą obronę — w każdym jednak razie potęgował animusz i może w ten sposób pośredni przyczyniał się do śmiałego natarcia i pokonania zwierza, o którego straszliwości przesadne kursowały podania.

Opowiada nasz naturalista Rzączyński, że na pewnem polowaniu w 1704 r. niedźwiedź, porwawszy jednego myśliwego, rozdarł go w kawały, a potem rzucał nimi na nacierających innych myśliwych. To już stanowczo za wiele i dla niedźwiedzia i dla zacnego autora *Historiae naturalis*. Natomiast martyrologia połączona z łowami obfituje w podobne zdarzenia, jakie miały miejsce w 1838 r. w pow. Nowogrodzkim w dobrach Rzepichowskich, dziedzictwie hr. Tyzenhauzów. Padł tam ofiarą niedźwiedziej zemsty ks. Czesław Rowieński, proboszcz Krzywoszyński — umarł trzeciego dnia po spotkaniu z niedźwiedziem, który mu skórę z głowy złupił, nos i policzki aż do kości poodzierał, a oczy wydrapał. Takich zajść nieszczęsnych mógłbym tu sporo naprowadzić, a mnóstwo nie doszło do wiadomości publicznej, choć wiedzą o nich tradycyjnie ludzie miejscowi. W innych znów razach odbywał się wśród kniei pojedynek bez świadków, skąd myśliwy już więcej nie wrócił.

W każdym razie rozjątrzony niedźwiedź to przeciwnik poważny — łowy niedźwiedzie nawet w obec ulepszonej broni nie wolne od niebezpieczeństwa dla człowieka. Pojmowali to doskonale nasi przodkowie używając bardzo trafnego przysłowia: „z szwagrem na zające, z bratem na niedźwiedzia“.

Łowy pana profesora.

Pan profesor był z zawodu filologiem, ale lubił się wścibiać do nauk przyrodniczych, a gdy nadszedł czas polowań błotnych, to rzucał w kąt klasyków i cały wolny czas przepędzał z ptaszniczką na polu. Kto z nas chciał wykpić się z jakiego trudnego ustępu „Anabazis“ Xenofonta, to przynosił do klasy byle co, chrząszcza, jajo ze sroczego gniazda, pisklę jakie i podsuwał to panu profesorowi; wtedy greka szła na bok, pan profesor silił się oznaczać pokazany mu przedmiot, rozmowa schodziła na ptaki, sidła, wędki, ryby — panu profesorowi świeciły się z poza okularów oczy — i wszyscy dostawaliśmy „pierwszą“ z greki.

Pod koniec kursu letniego, gdy się już kszyki na błotach pokazywać zaczęły, było nam najlepiej. Pan profesor jakby dotknięty jakąś sugestyą myśliwską, wpatrywał się w okno klasy, ukazujące dużo nieba i nieco łąki odległej, i z wielkiem roztargnieniem słuchał tego, cośmy mu na zadane pytania odpowiadali. Z przyzwoitości piszę „odpowiadali“, bo w istocie tośmy wszystko odczytywali z otwartych książek i oczywiście wyborne łowili klasy. A niechno na jasno-bławatnem tle nieba ukazała się para krzyżówek, podskakiwał pan profesor na krześle, jak sprężyną ruszony i albo, zmiarkowawszy się, mówił monotonnie „Sequens!“ — albo schodził z gradusa, zbliżał się do okna i nałożywszy drugie okrągłe, wypukłe okulary, lustrował uważnie cały firmament. Były to boskie chwile, w których poza plecami pana profesora kwitły rozmaite sery, byki, O ścieśnione i inne studenckie sztuki z towarzyszeniem prychania, stłumionych śmiechów i cichych wyzywań.

Pan profesor był właściwie tego zdania, że z całej łaciny klasycznej warto było studyować tylko „Kynegetikę“ Marka Aureliusza Nemezyana, a z greki jedynie to, co Xenofon o łowach i psach pisze. Uważał też Karola Wielkiego za pierwszego prawodawcę i pedagoga, dlatego, że nakazywał w szkołach Nemezyana czytać i studyować. Wszystko inne to właściwie funta kłaków nie było warte i należało każdemu uczniowi, czy co umiał, czy nie umiał, dać pierwszą klasę — bo na cóż miał sobie niepotrzebnem śmieciem głowę zapychać?

Pomiędzy uczniami forytował z predylekcyą tych, co byli synami właścicieli ziemskich, dzierżawców lub leśniczych, bo ci więcej coś umieli opowiedzieć o naturze, o lesie i polowaniach — a tkliwym był na polowania i starał się żyć w jak najlepszych stosunkach z tymi, którzy go mogli na polowanie zaprosić. Szczególniejsza zażyłość łączyła go ze stryjem moim, nadleśniczym wielkiego kompleksu niedalekich lasów rządowych, bo tam się mógł najłatwiej na polowanie wyrwać i było na co polować.

Była to jakoś druga połowa listopada, sobota. Ostatnia godzina nauki ciągła się jak smoła. Pan profesor był jakiś nieswój, chmurny i zgryźliwy. Na dworze sypał się śnieg jak pierze z worka, spokojnie, w dużych płatkach i układał się w równy biały kobierzec. Łowiliśmy chciwie każdy szelest, czy to przypadkiem nie tercyan z ostatniem dzwonieniem — gdy wtem zapukano do klasy i wsunęła się ręka listonosza z listem. Któryś poskoczył ku drzwiom i zawołał:

— List do pana profesora!

Pana profesora zelektryzowała ta wiadomość, chwycił skwapliwie list i rozdarł kopertę gorączkowo. W miarę czytania rozjaśniło mu się oblicze, a oko uradowane spoczęło mimowoli na mnie.

List brzmiał jak następuje:

„Wielmożny Panie profesorze! Nie polowaliśmy jeszcze tego roku, a należy nam się to. Następuje niedziela a zaraz w poniedziałek ruskiego Mikołaja — dwa dni wolne, a spodziewam się właśnie pięknej ponowy na te dni, że będzie można i dziki obciąć. Proszę tedy wziąć ze sobą naboje śrutowe oraz kule i stawić się w sobotą na noc. A Dyska można wziąć, jeśli na to zasługuje. Z prawdziwem poważaniem *N. N.*

Postscriptum. Reumatyzm drze mię bardzo w twarzy prawej i w karku. Może Pan profesor będzie łaskaw przywieźć mi *Scharfe Einreibung*. Należytość z podziękowaniem zwrócę.

— Zostaniesz po godzinie w klasie! — rzekł pan profesor do mnie po przeczytaniu listu.

Rozkaz taki byłby mnie kiedy indziej przeraził, lecz teraz domyśliłem się prawie wszystkiego i zostałem, gdy cała klasa, przepytlowawszy „Ojcze nasz“ na pierwszy odgłos dzwonka, wysypała się na korytarz.

„Dysko“, o którym list wspominał, to byłem ja — Dyonizy. Pan profesor zakomunikował mi tedy, żebym prędko jadł obiad i szybko się zbierał, bo pojedziemy do stryja. Nie potrzebował mi tego powtarzać — skoczyłem z radości, pocałowałem go w rękę i runałem ku drzwiom.

— A słuchajno Dysku — zawołał pan profesor, dając mi pieniądze — kupisz u Geschwinda flaszkę *Scharfe Einreibung*, wiesz? i przyniesiesz, żeby jeszcze do kuferka zapakować.

Pociąg odchodził o godz. 5-tej popołudniu do stacyi, skąd mieliśmy jeszcze półtora godziny końmi, a tu o 4-tej daleko było jeszcze do spakowania się pana profesra. Biurko, stół i krzesła zawalone były przygotowanymi do drogi przyborami. Na biurku, wśród dwóch otwartych książek, widniał rozwalony olbrzymi stos pensów łacińskich i greckich do poprawiania, para piór gęsich, para stalowych, świeża flacha czerwonego atramentu, cygarnica z niedopalonym papierosem, puszka z przybitkami, śrót rozsypany, kawałek zeschłej bułki itd. Pomnożyłem tę kolekcyę profesorską, postawiwszy na biurku *Scharfe Einreibung* i zapytałem pana profesora, co mam robić.

— Zaraz, zaraz — tylko skończę te naboje — odrzekł pan profesor, i wciskał w pocie czoła przybitki do nabojów z kulami, z których już cała kopa leżała przed nim gotową. Widocznie całe czeredy dzików defilowały teraz przed wyobraźnią pana profesora, bo się uśmiechał do kopy ładunków a wtłoczywszy przybitkę do ostatniej łuski, skoczył i zawołał:

— Dawaj teraz kufer!

I rozpoczęło się pakowanie. Co tam nie szło do tego kufra!

— Koszula nocna! Buty filcowe, kiełbasa, pantofle, ser szwajcarski, chustki do nosa! sardynki, grzebień, mydło! Daj te cztery butelki wina, naboje, papierosy, jasiek, cygara! — tak brzmiała komenda pana profesora. Ja podawałem, czego zażądał, potem on sam coś łapał i jedno przez drugie rzucał i wpychał do dużego kufra podróżnego.

Na pobliskiej wieży kościelnej wybiło pół do 5-tej; zatrzasnęliśmy kufer i jazda!

W sieni trzeba było jeszcze pożegnać starego wyżła Bekasa i wytłumaczyć mu po raz setny, że porządnego; wyżła, wychowanego wedle zasad Nemezyana i Xonofonta nie bierze się do kniei — potem w drzwiach już zapytał pan profesor, czy jest *Scharfe Einreibung*, odparłem że jest — potem wskoczyliśmy do fiakra, oddali starego Bekasa pod opiekę staremu Marcinowi i wio na kolej.

Że nas przyjęli z otwartemi rękami, gdyśmy przyjechali do nadleśniczówki — to niema co i mówić. Stryj mój tylko był sykający i trzymał się za twarz i kark, gdyż więcej niż kiedykolwiek dokuczała mu newralgia czy reumatyzm. Zaraz więc zeszła rozmowa na *Scharfe Einreibung*, pan profesor rozrzucił swe manatki na pół pokoju i stara Kordula, pełniąca obowiązki klucznicy i gospodyni domu, wzięła zawiniętą flaszkę do pokoju p. nadleśniczego, ażeby się na noc wysmarował.

Kilku sąsiadów dalszych przybyło jeszcze pod noc. Spędziliśmy ją wśród rozmów i najmilszych snów, prorokujących nam rozliczne rozkosze myśliwskie — ale nad ranem przebudził nas wrzask niesłychany. Rychło świt wpadła Kordula z krzykiem:

— Pan zamordowany, pan zamordowany!

Zerwaliśmy się na równe nogi i rzuciliśmy się ku sypialni mego stryja. W istocie straszny przedstawiał on widok. Twarz, kark, szyję i ręce miał krwią zbroczone, ale się jeszcze ruszał. Gdyśmy się bardziej do łóżka zbliżyli, zdawało nam się, jakdyby się dopiero budził. W istocie otworzył oczy i wodził po nas zdziwionym wzrokiem.

— Pan żyjesz! — zawołał profesor i jął mego stryja oglądać, szukając ran.

— Czego wy właściwie chcecie? — burknął mój stryj niechętnie.

— Ależ pan okropnie krwią zbroczony.

— Krwią? — krzyknął mój stryj i wyskoczywszy z łóżka stanął przed lustrem. Ujrzawszy się zbroczonym, struchlał i jął się sam obmacywać, lecz po chwili splunął z indygnacyą:

— Tfy! Cóż to za *Scharfe Einreibung*, któreś mi pan przywiózł?

Pan profesor wziął z szafki nocnej flaszkę, obrócił ją etykietą ku oknu, poza którym dzień się dopiero na prawdę rozwidniał — i struchlał także. Na buteleczce stał napis: *Leonhardi's Rothe Metalltinte*.

Morderstwo wyjaśniło się jednej chwili; profesorski czerwony atrament posłużył do spędzenia reumatyzmu na szyi i twarzy mego stryja — a *Scharfe Einreibung* została na biurku pana profesora do poprawiania zadań filologicznych. Stryj mój zaś, nacierając się przy słabem świetle lampki nocnej, ani zauważył, że się tak pięknie maluje.

Wszyscy parsknęli śmiechem, ja schowałem się w kąt, choć nie byłem winien, bo nie ja flaszki w pospiechu zamieniałem, a stryj mój zjadliwem okiem zmierzył profesora od stóp do głowy.

Parę szaflików wody nie wystarczyło do zmycia okropnych plam metalowego atramentu i czerwony, jak rak, musiał mój stryj iść na polowanie. Ale był w wybornym humorze, gdyż go nic nie bolało i twierdził, że *Rothe Metalltinte* jest lepszy na reumatyzm niż *Scharfe Einreibung*.

Biednego profesora brali teraz wszyscy na zęby, zowiąc go „panem konsyliarzem“, a dzierżawca sąsiedniej wioski, pan Zielonka, figlarz znany na całą okolicę, szepnął memu stryjowi, gdyśmy siadali na sanki:

— Poczekaj sąsiedzie! Utnę ja profesorowi frygę za to jego lekarstwo, aż mu w pięty pójdzie.

*   *   *

Dzień był prześliczny i ponowa jak na zawołanie. Słońce zeszło jaskrawo, mrozik mierny, kilkustopniowy, wiatr ani musnął, więc drzewa stały poważnie w całym swym majestacie zimowej siwizny, oświeconej karminem słonecznych promieni.

Gdyśmy się tak sunęli milczkiem ku kniei, krzyżowało nam drogę mnóstwo tropów a tu i ówdzie i bobków zajęczych, a poza kunsztownemi kluczkami szaraka, pojawiał się gdzieniegdzie sznurek tropów lisich, lub wskróś przez pole ku lasowi wiódł ślad jakiegoś wiejskiego Burka, który urządzając łowy na swój rachunek, zaglądał, co się też tam dzieje.

I tak na tej karcie białej wypisane były zrozumiale dla oka myśliwskiego dzieje ostatniej nocy, przez którą już śnieg nie padał, kluczenia szaraków, chytry pościg mykity i kłusownicza wycieczka wiejskiego brysia.

Gdyśmy stanęli pod lasem, nastąpiła półgłosem konferencya z leśnymi, którzy nas tam oczekiwali. Z ust do ust podano sobie radosną wieść, że w najgrubszej sekcyi lasu obcięto dwanaście dzików. Ku tej sekcyi skierowaną też została nagonka, a komenda mojego stryja brzmiała:

—Strzał tylko do dzika! Kule do strzelb! Precz z tytoniem! Milczkiem gęsiego na linię! Za mną!

Z podziwem patrzałem wtedy na mojego stryja. Brak mu było tylko piór orlich na czubie, ażeby był podobny do jakiegoś dzikiego naczelnika czerwonoskórych Indyan — w tym wypadku z pokolenia Metaltintów.

Przybywszy na linię wskazanego miotu, zaczęliśmy się po jednemu odrywać. Ja stanąłem na samym końcu razem z leśnym Hryńkiem i chociaż nagonka nie dała jeszcze ani znaku życia, naszczurzyłem moją flintę, gotowy do strzału. A miałem starą pojedynkę stryjowską, kabzlówkę, o której stryj mawiał, że „okrutnie bije“ — ale sam z nią już nigdy na polowanie nie chodził.

Stoimy tak, stoimy — ja od czasu do czasu chucham w łapy, które mi od lufy marzną — aż wtem odezwały się pojedyncze głosy huczków, a potem zaraz krzyk na całej linii jak rotowy ogień: Dyki, dyki! byj, byj! Patrzę po linii nic nie widać. Na przeciwnej flance padły trzy strzały. Hryńko, jak każdy leśny, co myśli, że łatwiej zwierza podbiegnie niż wypatrzy, skoczył bokami ku nagonce. Chwilę znów było cicho, aż nagle zerwał się tuman śniegu i wprost na mnie wypadło z dziesięć czarnych bestyj, jedna locha na przedzie, a potem kilka wycinków i warchlaki. Ja cofam się pod buk, a potem strzelbę do oka i spuszczam kurek — ale nic nie strzeliło, bo ze wzruszenia myśliwskiego zapomniałem nabić. Więc ze złości biorę pojedynkę za lufę i rzucam za warchlakiem. Warchlak kwiknął i wszystko zginęło w gąszczu poza linią.

Pokazało się, że pozycya moja poza bukiem była wyborną, gdyż z linii odezwały się strzały i kule świsnęły koło buka strząsając liść suchy i płaty śniegu. Nagonka wyszła z porozdziawianemi gębami, gdzieś z daleka zaklął mój stryj siarczyście na wszystkich dyabłów — i tak się skończył miot na dziki. A był w nim jeszcze i ten *casus fatalis*, że do osobno wymykającego odyńca gruchnął aż trzy razy pan Zielonka i ani go nie dotknął.

— No, nie ma co robić! Dziki poszły do dyabła, już ich dziś nie zobaczymy. Teraz śrut do luf! Zajęcy, lisów i kozłów nam nie zbraknie. W jednej lufie kula nie zawadzi.

To rzekłszy, stryj mój wziął się za twarz i stęknął, że go znowu drze, a Metalltinte nie pomaga.

— A, a! panie konsyliarzu, piękna kuracya! — zawołali inni patrząc złośliwie na pana profesora — a ten, stuliwszy uszy zarzucił strzelbę na ramię i puścił się przodem do nowego miotu.

Ten nowy miot był bardzo duży, przerznięty potoczkiem przeważnie ze zrębów i młodych zapustów złożony. Stanowiska tak tutaj rozdano, że w środku znalazł się pan profesor koło p. Zielonki. Nagonka miała wielką drogę do odbycia, żeby zajść z przeciwnej strony — więc myśliwym wypadło długo czekać i nudzili się.

Pan Zielonka deptał koło swego stanowiska, oglądał się ukradkowo na wszystkie strony, a od czasu do czasu schylał się, podejmował coś ze śniegu i wkładał do ust.

Cała ta manipulacya zaintrygowała niesłychanie pana profesora. Poprawił okulary, przyjrzał się bliżej i zobaczył, że w tem właśnie miejscu, gdzie pan Zielonka się schyla, rozsiane są gęsto bobki zajęcze.

Czyżby to być mogło? Ciekawość pożerała pana profesora, przemogła go wreszcie, tak, że cichaczem podszedł aż do pana Zielonki i właśnie w chwili, gdy ten podnosił bobek zajęczy do ust, zapytał:

— Co też pan sąsiad robi?

Pan Zielonka udał wielce zażenowanego, ale z ócz szelmowskich można było wyczytać, że zastawia jakąś łapkę na biednego profesora.

— Toś pan widział, panie profesorze? Ach, niechże pan o tem nikomu nic nie mówi. To widzi pan... bobki, zajęcze bobki... uważa pan...

Pan Zielonka zawstydzony plątał się tak, że nie mógł trzech słów do kupy skleić.

— Czyżbyś pan to z głodu czynił? — odezwał się pan profesor, lustrując sąsiada bacznie z pod okularów.

— Ach nie! Otóż powiem panu otwarcie, że to jest lekarstwo na oczy. Mam ten sekret od jednego bardzo starego leśniczego. Podobno i w Pliniuszu jest o tem mowa — zaryzykował zuchwale p. Zielonka.

— W Pliniuszu? Hm, nie czytałem, nie pamiętam.. Ale może... Czyżbyś pan więc tak słabym był na oczy?

— Okrutnie, panie profesorze! Jeśli choć kilka bobków na polowaniu nie zjem, to niczego nie dojrzę i nic nie ubiję.

— To zapewne dlatego spudłował pan i odyńca — rzekł pan profesor z pewną złośliwością.

— Oj tak, oj tak! — westchnął p. Zielonka i schyliwszy się podniósł znów bobek i włożył go do ust. — A te ciemne — dodał — to najskuteczniejsze...

Pan profesor spoglądał to na bobki na śniegu, to na p. Zielonkę — splunął — i nic nie mówiąc, wrócił na swe stanowisko.

I dobrze, że poszedł, bo sztuka z bobkami nie byłaby się udała. Pan Zielonka, figlarz nad figlarze, porzucił był między bobki zajęcze kilka czekoladek tego samego kształtu i tejże barwy co bobki i właśnie ostatnią poniósł teraz do ust.

Tymczasem odezwała się trąbka na skrzydla, nagonka poczęła hukać i bić patykami po krzakach i doprawdy, jakby w jakim zwierzyńcu, jęły wyskakiwać zające i lisy i sadzić wprost na linię.

Pan profesor, nie nawykły tego widoku, rozgorączkowany, bił na lewo i na prawo, a tu mu okulary potniały i prócz turzycy, wydartej z połcia jakiemuś szaraczkowi, wszystko żywcem puścił. Inaczej p. Zielonka — ten strzelał jak wściekły, wszystko co trafił, na miejscu padało i nim huczki wyszli na linię, pięć zajęcy i lis leżało naokoło niego.

Wszyscy gratulowali niesłychanego szczęścia panu Zielonce, a on łypnął tylko na pana profesora i szepnąwszy: „A co?“ położył palec na ustach.

Skutek bobków zajęczych był najwidoczniejszy. Czy Pliniusz o tem wiedział, czy nie — to mniejsza — dla biednych oczu profesorskich, które aż dwóch par okularów potrzebowały, była to jednak kwestya nader żywotna.

Dotychczas nic nie ubił, to, co widział, źle widział, bo spudłował. Czyż myśliwstwo od najdawniejszych czasów nie posiada cudownych sekretów? Czyż jednym z sekretów takich nie miałyby być bobki zajęcze?

Pan profesor zadumał się srodze. Szedł jak lunatyk, w ciężkiej zadumie, i ani zważał, że p. Zielonka szeptał coś z uśmiechem mojemu stryjowi i że porozumiewali się na znaki z panem poczmistrzem, który w nowym miocie zajął stanowisko obok pana profesora.

Nowa linia myśliwych miała urocze położenie, łamała się w jar i obu skrzydłami wychodziła na dwa leśne ubocza. Pana profesora postawiono w samym środku na dole, a że linia była wycięta i świeżym zasuta śniegiem, więc wszyscy koledzy widzieć go mogli jak na talerzu.

Biedny profesor, gdy stanął pod swym drzewem i rzucił okiem przed siebie, został jakby zahypnotyzowany. Na kilka kroków przed nim czerniły się na śniegu rozsypane bobki zajęcze. Ciągnęła go jakaś moc tajemnicza ku temu cudownemu lekowi, lecz rozsądek go powstrzymywał. To zrobił krok, to znów się cofnął i rozglądał tajemniczo w około, czy go kto nie widzi. On biedak nikogo nie widział, lecz dwanaście par oczu śledziło go uważnie z poza drzew na całej linii, a nawet dawano sobie znaki, świadczące o porozumieniu całej drużyny myśliwskiej.

Po ciężkiej walce przemógł wreszcie przesąd myśliwski. Pan profesor poskoczył naprzód, chwycił bobek zajęczy do ręki, powąchał, skrzywił się okrutnie, wreszcie włożył go do ust, zchrupotał, lecz zaraz się zakrztusił i wszystko wyrzucił na śnieg.

Czy w tej chwili jakieś szczególne echa nagonki się rozległy, czy same drzewa zachichotały — nie wiadomo — dość, że powstał jakiś dziwny gwar, który przejął lękiem pana profesora, a zaraz potem rozległy się wołania i uderzenia huczaków.

Cała uwaga myśliwych i pana profesora zwróconą teraz została wyłącznie na las i na zwierzynę; padły strzały, tu i owdzie dał kozła kopyra, albo lis nakrył się kitą — nawet pan profesor dwa razy wygarnął — ale znowu bezskutecznie.

Nastąpiła przerwa i śniadanie w lesie koło ogniska. Humory były znacznie lepsze, niż po pierwszym miocie na dziki; chichotano bez ustanku i nie spuszczano z oka pana profesora, który siedział jak na rozpalonych węglach i mienił się na twarzy.

— I zgryźć i jeszcze nic nie trafić — oto był smętny jęk, który się w duszy jego odbijał.

Nareszcie pod koniec śniadania stawiła się cała wesoła drużyna przed panem profesorem i wręczyła mu porcyę bobków zajęczych na misie ubranej liściami, przyczem p. Zielonka wypowiedział kunsztowną mowę, iż to jest zasłużona nagroda za cudowny wynalazek czerwonego atramentu jako środka na reumatyzm.

Wszyscy się śmiali, więc i pan profesor śmiać się musiał i zakończył śniadanie wziętą z drugiego talerza czekoladką, która była wyborną, pomimo, że się powierzchownością swą niczem od bobków zajęczych nie różniła.

* * *

Lecz słusznie mówi francuskie przysłowie, iż dobrze śmieje się tylko ten, kto się śmieje ostatni. Bo i pan profesor nie opuścił kniei ośmieszony, ale miał ostatni prawo śmiać się ze swoich przyjaciół.

Po śniadaniu nastąpił jeszcze jeden miot, najodleglejszy i ostatni. Tu Dyana okazała się przychylną panu profesorowi i skwitowała go wspaniałomyślnie ze wszystkich doznanych zawodów i przykrości.

Staliśmy w tym miocie razem koło siebie. Ja myślałem teraz tylko o tem, czy pojedynka nabita i zaglądałem bezustannie, czy kabzla z kominka nie spadła. Pan profesor zbolały, pokrzywdzony, spokojnym był jak posąg.

Jeszcześmy się dobrze na stanowisku naszem nie rozglądnęli — jeszcze nagonka znaku życia nie dała — gdy w tem o kilkanaście kroków przed nami zrobiła się w gęstwinie jakieś zamieszanie. Pan profesor poprawił okulary, ja naciągnąłem kurek i ścisnąłem pojedynkę tak, jakgdybym ją chciał rozgnieść — a wtem truchcikiem nie zbyt szybkim wypadła z krzaków potężna locha, za nią zaś dwa warchlaki.

Kto byłby jej tu szukał? Zobaczywszy nas niespodzianie, fuknęła i przystanęła, a z chwili tej skorzystał po mistrzowsku pan profesor i wpakował jej kulę pod łopatkę. Zwaliła się odrazu jak pagórek czarny na śnieg, a ja tymczasem gwizdnąłem jednemu warchlakowi za ucho. To samo zrobił pan profesor z drugim i tak trzy czarne sztuki legły przed nami, jako zdobycz trzech mistrzowskich strzałów.

Oczywiście, że zrobił się rumor okrutny. Nikt już nie zważał na dalszy ciąg miotu, przeważna część myśliwych zbiegła się ku nam i przy nieskończonych wiwatach, wypijanych na trupa, okrzyknięto pana profesora królem polowania, a mnie jego paziem.

Wśród ogólnej harmonii zakończył się ten piękny dzień późno na leśniczówce. Wieńcem z dębowego liścia o okazałym dyademie na przodzie, utworzonym z dwóch dziczych szabel, przystroiliśmy skronie pana profesora. Stryj mój (zawsze czerwony jak rak) pił w jego ręce zdrowie króla polowania, a pan profesor, podniósłszy kieliszek, tak odrzekł:

„Cuda i wynalazki, to dla nas nie pierwszyna! Żyjąc na łonie przyrody, jak dobrym myśliwym przystoi, żyjemy wśród ciągłych czarów i cudów. Nie dziw też, że leczymy reumatyzm czerwonym atramentem, a wzrok zaostrzamy bobkami zajęczymi. Wszakże i to jest cud, starożytnemu światu i nowszym czasom nieznany, że profesor filologii wygolił samurę i stał się królem. A wdzięczną ramą dla tych cudów jest swoboda i wesołość myśliwska, która figlem figiel odcina, a nie rani. Niechże żyją cnoty myśliwskie! *vivant!*“

Wiwat! odpowiedziano mu w około, a mój stryj i pan Zielonka padli w objęcia profesora i wszyscy kochali go odtąd dziesięć razy więcej niż przedtem. *St.*

Łowiectwo i zwierzęta łowne
w przysłowiach.

Mówią, że mądrość narodów w przysłowiach zawarta. Nie zawsze to prawda, bo twierdzenia, mieszczące się w przysłowiach, częstokroć najsprzeczniejszym zasadom etycznym hołdują, a chcąc przysłowiami swojego dowieść, można niemal na każde zapatrywanie znaleść w przysłowiu wręcz przeciwną odpowiedź. Nie jest to więc czysta, niewzruszona mądrość, ale reguły roztropności, wyrosłe na gruncie długoletnich doświadczeń, zaczarpane z najrozmaitszych położeń człowieka w życiu, zmienne co do swej etycznej wartości, jak zmienną była wartość etyczna tych, którzy im dali początek, jak zmiennemi wreszcie były w ciągu wieków same pojęcia o cnocie, sprawiedliwości, stosunkach społecznych itd.

Gdzie są jednakże porównania, odnoszące się do niezmiennych zjawisk natury, do obrazów przyrody, własności tworów, życia i zwyczajów zwierząt itp., tam tkwi zawsze bystre podpatrzenie przyrody, uznane przez wszystkich, skoro z wieku na wiek przez tysiące ust powtarzane. I pod tym względem nie można odmówić przysłowiom wartości i trafności spostrzeżeń, bezwzględnej prawdy, wypowiedzianej zazwyczaj w sposób krótki, dosadny, a częstokroć rubaszny lub krotochwilny. Z tego względu mają też wartość przysłowia z zakresu myśliwstwa, jako malujące charakter tej obywatelskiej rozrywki w ciągu wieków, jej dodatnie i ujemne strony, a chwytające w trafny sposób rysy charakterystyczne wciąganych do przysłowiów zwierząt.

Podajemy też poniżej najważniejsze przysłowia o łowiectwie i zwierzętach łownych, a wyjmujemy je przeważnie z najobszerniejszego zbioru przysłów, który niedawno temu w Warszawie wydanym został*).

* * *

Co do samego myśliwstwa i psów myśliwskich zaszczytne i mniej pochlebne przysłowia brzmią jak następuje:

1. Dobry myśliwy — zły rolnik.

Chyba nie zawsze prawdę to przysłowie głosi, bo moglibyśmy wielu pierwszorzędnych rolników i myśliwych w jednej osobie zacytować.

2. Dwadzieścia myśliwych, dwadzieścia malarzów, dwadzieścia pogrzebnych kaznodziejów — kopa łgarzów.

Inny waryant tego przysłowia brzmi: „Jedno dziesięć poetów, a drugie młynarzów, trzecie myśliwców — mówią, że pół kopy łgarzów“. Czy tak, czy tak, zawsze jest myśliwstwo jako łgarstwo zdespektowane, szczęście tylko, że w niezłem towarzystwie.

3. Każdy myśliwy krwie chciwy.

4. Kto myśliwy — do trąby, nabożny — do księgi, gospodarz — do minucyi, gach zawsze do wstęgi.

5. Myśliwiec w domu pogody czekający, kmieć bez dozoru robiący, sobie niż panu dogadza zawżdy — pewnie z nich każdy utraci.

6. Myśliwi zjedzą wołu, a ptaszka zabiją.

Inny waryant tego przysłowia: „Myśliwy — próżliwy, ptaszka upoluje, a wołuby zjadł“.

7. O myśliwych, co to zmiłuj się Boże, mówią: „Dobry myśliwy — z torbą na śliwy“, a o innym, co to mu pachną nie trudy myśliwskie, lecz pieczeń, mówią: „Myśliwy z półmiska“.

8. W łowiech uciecha, u stołu znajomość, w ciepłe sen — najmilsze.

9. Nie czas wtedy psy karmić, kiedy na łowy jechać.

10. Dobry łowiec wie jak sieci zakładać.

11. O lichym myśliwym mówią: „Co on ułowi, ja na ręku uwarzę“.

12. „W kołnierzu łowić“ — rzecz szkaradna, o której wyraża się Klonowicz (Flis) jeszcze dobitniej: „W kołnierzu poluje i wszom się jakby nie swym przypatruje“.

13. Kto poluje i ryby, tego chleb chybi.

14. Co po zwierzynie, kiedy strzelby nie ma.

15. Rusznica strzelca nie czyni.

16. Rusznica w lesie, kopia w polu, miecz na ulicy, puinał w cieśni — straszne rzeczy są.

17. Z rusznicą na wiosnę, z sokoły w lecie, z ogary w jesieni, z rarogi w zimie — myśliwstwa najlepiej użyć.

18. Z rusznicą, z lwem, z królem — szkodliwy żart.

19. Nie spudłuje ten na kocie, kto jaskółki strzela w locie.

20. „Strzelać by w żubra“ — znaczy tyle, co strzelać na pewno, żeby się już zwierz nie dźwignął.

21. „Strzelają jak na rezurekcyę“ — mówi się o tych, co na strzały dużo prochu psują, a nic nie ubiją; o tych zasie, co pudłują źle mierząc, mówi się: że „Panu Bogu szyby w niebie wybijają“.

22. Dobra strzelba nie na jednego ptaka.

23. Strzelba, koń i żona — rzecz nie pożyczona.

24. Strzelbie, klaczy i niewieście nie wierz, czy to na wsi, czy to w mieście.

25. I dobry strzelec czasem chybi.

26. Dobry strzelec zwierzyny nie jada.

27. Strzelec i gracz nigdy nie bogacz.

28. Hardy strzelec w swoim lesie.

29. Na dobrego strzelca zwierzyna sama idzie.

30. Kiedy strzelec mokry, a rybak suchy — to obadwa zuchy.

Ma to znaczyć, że gdy myśliwy niewytrzymały z trudu potnieje, a rybak się wody boi — to obaj dyabła warci.

31. Strzelec mówi: prosto mierz, w Boga wierz — nie chybniesz.

32. Strzelec strzela — Pan Bóg kule nosi.

33. Ślepy strzelec, pijany poseł, a kulawy skoczek — jedną drogą idą.

34. Przy domu psy szczekają, w kniei zaś grają.

35. Ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwadliwy — dobrzy bywają.

36. Ani chartów, ani kartów — oznacza skromne życie bez polowań i hulanek.

37. Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu.

38. Chartem, jastrzębiem przyjaźń jednają.

39. Często inszy chart porwie kota, nie ten co dogoni.

40. Przed jednym chartem ucieka sto zajęcy.

41. Wiele chartów zająca śmierć.

41. Koń siwy, chart płowy, ptak biały — częściej dobrzy trafiają się.

---

*) Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich. Zebrał i opracował Samuel Adalberg, Warszawa 1894.

43. Koń wymorzony w drogę, chart ochromiony w pole, czczy mieszek do targu — wszyscy nie wiele sprawią.

Zamiast chart ochromiony, mówi „Gospodarstwo iezdeckie“, chart obkarmiony w pole — i ma racyę.

44. Łasi się jak chart za koniem na smyczy.

45. Niemca po śpiewaniu, charta po szczekaniu zaraz poznać można.

46. Stanął jak chart przed knieją.

47. Na św. Bartka lęka się zając chartka.

48. Zawsze to znać, co kundel, a co wyżeł.

* * *

O zwierzętach, należących przeważnie do łowiectwa historycznego, niewiele przysłów zachowało się do naszych czasów. Oto najważniejsze:

T u r:

1. Turowi zdechłemu zając brodę skubie.
2. Rogi turowi nie ciężą.
3. Chodzi sobie jako tur potrząsając porożem swojem.
4. To mi nie strzelec, ale istny ciura, który spudłuje do tura.
5. Krew jak u tura — tj. czerwona, jasna.
6. Natura jak u tura.

Ż u b r:

1. Buja sobie jako żubr.
2. Chodzi sam jak on żubr odyniec.

Przysłowie to wyjęte z Reja (Zwierciadło) wskazuje, że nazwa odyniec, jako jeden, jedyniec, sam jeden — odnosiła się nietylko do pojedynka dzika.

3. Ryczy jak żubr.

Ł o ś:

Co łoś to zwierzyna, co kiep to Puzyna.

Przysłowie to historyczne odnosi się do zatargu między rodzinami Łosiów i Puzynów. Jakiś z Puzynów napisał: „Mówił ktoś, że kiep Łoś“ i otrzymał od Łosia powyższą odpowiedź.

B ó b r:

1. Jak zabijesz bobra, nie będziesz miał dobra.
2. Jeśli masz bobra, to sprawa dobra. — W przysłowiu tem rozumianem jest przez bobra zapewne mieszek z pieniądzmi.
3. Nie zawsze się dają łapać bobry — znaczy tyle, że nie zawsze trafia się dobra okazya.
4. Okupić się jak bóbr strojami.

Przysłowie to odnosi się do myśliwskiej gadki, iż bóbr, którego ścigają, wiedząc, że go najwięcej gonią dla „stroju“ tj. gruczołów z wydzielinami, które dawniej wysoko w lecznictwie ceniono, sam je sobie miał odgryzać i porzucać, aby łowców zaspokoić i uratować życie. Kochanowski we Fraszkach pisze: „Musiałem się jak bóbr jajcy odkupować“.

5. Płacze jak bóbr.

Przysłowie to odnosi się do głosu, który bobry z siebie wydają, a który podobny jest do tłumionych jęków. Cartwright, który długie lata przebywał w Labradorze, twierdzi, że bóbr, który już nie może wymknąć się myśliwemu, staje słupka i krzyczy płaczliwie jak dziecko.

6. „O mój miły bobrze, schowajże się dobrze, od niedzieli do niedzieli, by cię charty nie widzieli, jak moje charty wylecą, to z ciebie kiszki wywleczą“.

To jest śpiewka przy grze w bobra, zachowującej się dotąd między młodzieżą w okolicach Gródka, w których wedle Haqueta jeszcze z końcem ubiegłego wieku znajdowały się bobry.

7. Bobrować — znaczy tyle, co przez wody i błota się przemykać. Np. Twardowski w Miscelaneach pisze: „Polskie bobrowały konie po Propontydzie i złotym Strymonie“. Inaczej użył tego wyrazu Wadowski, pisząc: „W rozkoszach po uszy bobrujesz“ — a więc nurzasz się, pluskasz — u Chrościńskiego zaś bobrować znaczy tyle, co gmerać, przeszukiwać, plądrować, bo mówi: „Bobrują w spiżarni, w komorze młodzieńcy“. Wszystkie znaczenia odpowiadają życiu i zwyczajom bobra.

* * *

Przechodzimy do istniejących dotąd drapieżców naszych.

N i e d ź w i e d ź:

1. Jak niedźwiedź głaśnie, to aż w krzyżach trzaśnie.
2. Jak niedźwiedź łapą głaszcze, to się i żartów odechce.
3. Jak niedźwiedź mruczy, tak dzieci uczy.
4. Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz za nos powiedziesz.
5. Kiedy niedźwiedzia uderzy gałąź, tedy ryknie, a kiedy go drzewo przywali, tedy milczy.

Przysłowie to bardzo mądre, używane bywa w przenośni do ludzi na oznaczenie, że mała nieprzyjemność draźni, ale gdy nieszczęścia zwalą się całą gromadą na człowieka, to drętwieje i milczy.

6. Kto jedzie na niedźwiedzia, niech sobie łóżko gotuje, a kto na wieprza, niechaj grób.

Tak to przysłowie podaje Rysiński. Wójcicki tak je przemienia: „Idąc na niedźwiedzia, gotuj łóżko, a idąc na dzika, gotuj mary“. Tak samo wedle Czelakowskiego brzmi to przysłowie w czeskim języku. Potocki Wacław, który przysłowia nie zawsze szczęśliwie w rymy zamieniał, tak to przytacza:

„Kto idzie na niedźwiedzia, łóżko wedle starej
Nagotuj przypowieści; kto na dzika, mary“.

7. Matusiu, rozświeć świeczkę, bo niedźwiedź w komorze.

Odnosi się widocznie do jakiejś ludowej gadki humorystycznej.

8. Na niedźwiedzia skórę pije, a niedźwiedź jeszcze w lesie.

Tak Rysiński. W „Zwierciadle“ Reya brzmi to przysłowie inaczej: „Tak na to bezpiecznie pijemy, jako na niedźwiedzia skórę, który jeszcze w lesie krowy łupi“.

9. Niedźwiedzia nie zabił, a skórę jego sprzedał.

Obydwa te przysłowia odpowiadają bardzo trafnie polskiej naturze przestrzegają bowiem, aby lekkomyślnie nie liczyć i nie wyzyskiwać naprzód korzyści, które są wątpliwe. Zarówno złota młodzież, hulająca na karb spodziewanych spadków, jak i politycy, trwoniący pewne d z i ś za obiecanki j u t r a, mogą sobie to przysłowie za uchem zapisać.

10. Niedźwiedzia za uszy do miodu nie ciągną.

Znaczy tyle w przenośni, że do dobrego przymuszać nie trzeba.

11. Niedźwiedzie tany, wilczy spiew, dziadowski płacz, to jeden bies.

12. Niedźwiedź łapę tylko ssie, a całą zimę syt bywa.

13. Niedźwiedź niedźwiedzia nie kąsa — używane w tem samem znaczeniu, co „kruk krukowi oka nie wykole“.

14. Niedźwiedź pszczoły wydarł, a na wilka krzyczą. Przysłowie tego samego znaczenia, co „kowal zawinił, a ślusarza powieszono.“

15. Nierad niedźwiedź, kiedy go od miodu odciągają.

16. Winien niedźwiedź, że krowę zjadł; winna też i krowa, że do lasu poszła.

17. Niedźwiedź zdechł, dudy o ziemię (Rysiński, Czelakowski). Odmiana tego przysłowia brzmi: „Niedźwiedź zdechł, dudy w miech". Odnosi się to do niedźwiedników, którzy nie mają co robić, gdy im niedźwiedź zdechnie.

Wacław Potocki tak to na swój sposób przerabia:

„Zdechł niedźwiedź, więc o ziemię dudy i multanki,
Spadło masło, jak mówią, niedźwiednikom z grzanki.

Wilk:

1. Bierze wilk i liczone.

Nadzwyczaj roztropne przysłowie, sprawdzające, że nawet najskrupulatniejsza buchalterya nie strzeże przed złodziejami.

2. Co wiedzieć, kogo pierwej wilk uje?

3. Co wilk załapi, próżno wydzierać.

4. Dla wilka las, dla gołębia strzecha.

5. Do czasu wilk owce dusi.

6. Gdy się wilk zestarzeje, skubie go i wrona.

7. Gdzie się wilk chowa, tam szkody nie robi.

8. Gdzie wilk dzieci wodzi, tam zwykle nie szkodzi.

9. Gdzie wiele wilków, psów wiele trzeba.

10. Głupiego wilka i cielęta liżą.

11. I wilk syt i owce całe.

12. Jak wilk chowany wróci do lasu, to znowu będzie wilkiem.

13. Jak wilk nie głodny, to się i krowie ogonem kłania.

14. Jak wilk ogona nie rosi, to i w brzuchu nic nie nosi.

Odmiana tego przysłowia brzmi: „Jak wilk chce w brzuchu co nosić, to musi se ogon zarosić".

15. Już to głód, kiedy wilk wilka kąsa.

16. Każdy wilk szarą sierść ma.

17. Kiedy może wilk barana je.

18. Kiedy o wilku mowa, wilk przychodzi.

19. Kogo wilk zje, ten do nieba nie pójdzie.

20. Kto chce z wilkami przestawać, musi wyć jak one.

21. Kto się wilka boi, niech do lasu nie chodzi.

22. Kto się wilkiem urodził, ten lisem być nie może.

23. Łacno wilk na barana najdzie przyczynę.

24. Ma wilcze włosy między oczyma — mówi się o kimś, co ma coś strasznego i drapieżnego w sobie.

25. Mów na wilka i mów za wilkiem — przysłowie tego samego znaczenia co: „I dyabłu świeczkę i Panu Bogu świeczkę"

26. Mów wilkowi pacierz a wilk woli kozią macierz.

27. Wilku, mów pacierz, a wilk mówi: owca, baran.

28. Namówiłem wilka: zduś owiec kilka, a on mnie łap.

29. Na wilka ze szwagrem, na niedźwiedzia z bratem.

W przysłowiu tem scharakteryzowane są łowy na niedźwiedzia jako niebezpieczniejsze od łowów na wilki, bo w razie niebezpieczeństwa wymagają czujności i poświęcenia braterskiego, podczas gdy przy drugich i szwagier wystarczy. Przysłowie to rozliczne ma waryanty, do których wchodzą rozmaite zwierzęta, porównywane co do wartości i niebezpieczeństwa łowów na nie.

30. Nie boję się wilka, choćby było kilka, a jak zobaczę ogon, to uciekam do dom.

31. Nie chciał wilk, a pies wziął.

32. Niech wilk trawę je.

33. Nie dlatego wilk straszny, że szary.

34. Nie napędzaj wilka do lasu, trafi on sam.

35. Nie o wodę wilkowi idzie.

36. Nie pierwsza dla wilka zima.

37. Nie porwie pies tego, co wilk puści.

38. Nie urodzi wilk sobola.

39. Nie ustraszy wilka lisem.

40. Nie wierz wilkowi, choć zabity.

41. Nie wilkowi jagnię, choć go wielce pragnie.

42. Nie wywołuj wilka z lasu.

43. Nie wpuszczaj wilka do owczarni.

44. Nie urodzi wilk zająca, ale wilka, nie urodzi sowa sokoła, ale sowę.

45. Nie za to biją wilka, że szary, ale za to, że owcę zjadł.

46. Nim pastuch się skwapi, wilk cielę załapi.

47. Nosi wilk, ale poniosą i wilka.

Tak to przysłowie podaje Rysiński, ale jest mnóstwo waryuntów, np. „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka"; „Nosił wilk barana, teraz niosą wilka pana"; Rey mówi: „Wilk nosi, a potem go też poniosą".

48. O wilku gadka, a wilk w sieci.

49. Póki świat światem, nie będzie wilk owcy bratem.

50. Przez wilka boru nie ubędzie.

51. Trudno dla wilka nie wyganać bydła do boru.

52. Trudno sadzać wilka na barana, jak jest syty.

53. Trudno wilkiem orać.

54. Uchodząc przed wilkiem, trafił na niedźwiedzia.

55. Użałował się wilk kobyły!

56. Wilcza choroba — tyle znaczy co obżarstwo, czyli „Wilczy apetyt".

57. Wilcza pokora — tyle znaczy, co obłuda, fałsz, udana pokora.

58. Wilcze oczy, księży wóz — co zobaczy toby wiózł.

Innym waryantem tego przysłowia jest: „Księże oczy wilcze gardło, co zobaczy, toby żarło".

59. Wilcze prawo — tyle co gwałt i przemoc.

60. Wilka do obory wpuścił — tyle znaczy, co oddać chciwcowi przez pomyłkę czy z umysłu, zarząd majątkiem sierocym i w ogóle wydać nieuczciwemu człowiekowi rzecz jakąś na łup i zniszczenie. „Zwierzył owcę wilkowi".

61. Wilka potkał — tyle co zląkł się, przestraszył, zaniemiał ze strachu.

62. Wilka za uszy trzymać — tyle znaczy, co nie wiedzieć, czego się jąć.

63. Wilk chowany, przyjaciel jednany — niepewny.

Niektórzy dodają: Wilk chowany, przyjaciel jednany, żyd chrzczony — niepewny; albo mówią: Wilk chowany, kożuch prany, żyd chrzczony — dyabła warci.

64. Wilk, gdzie ukąsić nie może, tam ozinie.

Ozinąć, ozionąć znaczy tyle, co oczarować wzrokiem. Przysłowie zaś mówi mniej więcej: jeżeli ci poszkodzić nie może, to przynajmniej oczerni. W innem znaczeniu, tj. oczarowania, mówią: „Milczy od strachu, jakby go wilk ozionął". Józef Wereszczyński zaś (1590) cytuje: „Żydowie nas tak prawie jako cygani pomanili i jako wilcy ozionęli".

65. Wilk i cielę, teraźniejsi przyjaciele.

66. Wilk i złodziej po nocu wędrują.

67. Wilk mu za uchem wyje — znaczy tyle, że ktoś ciągle się trwoży i niezdecydowany w działaniu.

68. Wilk oswojony a sługa przymuszony — jedne skutki odnoszą.

69. Wilkowi trudno wydrzeć z gardła.

70. Wilk psa się nie boi, tylko nie lubi jego szczekania.

71. Wilk wełnisty — złodziej czysty.

72. Wilk wilka chwali.

73. Wilk wilka nie kąsa — tyle co „kruk krukowi oka nie wykole“.

74. Wilk z wilki wyje.

75. W jednym dole wilk z kozą zgodą siedzieć będą — znaczy tyle, że w równem niebezpieczeństwie i kat ofierze swej nic złego nie zrobi.

76. Zachciało się wilkowi pląsać.

77. Znać wilka choć w baraniej skórze.

78. Z wilka nie będzie baranina, ani ze psa słonina.

(Dok. nast.)

Polowanie z puhaczem.

Pan W. Słonczyński opisuje w *Jeźdźcu i Myśliwym* szczegółowo polowanie z puhaczem. Pozwalamy sobie artykuł ten prawie w całości w piśmie naszem powtórzyć.

Wiele już dyskusyj przeprowadzono w pismach fachowych nad sposobami, najwięcej odpowiadającemi skutecznemu tępieniu ptaków drapieżnych; wielu hodowców uważa, że środkami skuteczniejszymi od budki z puhaczem są przeróżne pułapki, samotrzaski i żelaza. Jeżeli jednak te sposoby pozostawiamy służbie leśnej, to polowanie z puchaczem będzie zawsze przedstawiało, prócz naukowej korzyści, wiele uroku i ponęty dla prawdziwego myśliwego, którego serdeczne zamiłowanie do lasu i zwierzyny, wysoka rozkosz w studyowaniu natury, niewątpliwie cechować powinna.

W większych rewirach, przy prawidłowo prowadzonej hodowli zwierzyny, zwłaszcza zaś przy bażantarniach, budka z puchaczem, prócz innych środków tępienia ptaków drapieżnych, jest niezbędna. Polowanie takie daje najobfitsze rezultaty podczas ciągu ptaków, na wiosnę i w jesieni. Ciąg jesienny przypada w miesiącach: sierpniu i wrześniu aż do drugiej połowy listopada. Wiosenny ciąg, przypadający w sezonie tak zwanym martwym, a tem samem nader pożądany dla myśliwego, rozpoczyna się pod koniec lutego i trwa krótko tylko, gdyż kończy się już w ostatnich dniach marca.

Z jaką nadzwyczajną szybkością ciągną ptaki drapieżne, a mianowicie sokoły, dowodzi zdarzenie Franciszka I-go, króla Francyi, któremu wypadkiem z Fontaineblau uciekł ulubiony islandzki sokół do polowania (z gatunku *Falco candicans*), a już następnego dnia schwytano zbiega na wyspie Malcie, i następnie rozstawnymi końmi dostawiono go, ku uciesze ciężko tą stratą dotkniętego króla.

Ciąg ptaków drapieżnych różnie się odbywa; jedne z nich zatrzymują się dłużej i częściej dla wypoczynku, inne znowu zamorskie podróże odbywają szybszem tempem i potrzebują mniej wypoczynku. U niektórych gatunków daje się spostrzedz ta osobliwość, że jeżeli nie jednego i tego samego dnia ciągną, to już napewno można oznaczyć jeden i ten sam tydzień w roku ich ciągu. Na dowód tego przytacza jeden z myśliwych niemieckich zdarzenie z własnego doświadczenia, że w trzech po sobie idących dniach w miesiącu wrześniu, a mianowicie: w roku 1869, 1870 i 1871 ubił myszołowa stepowego (*Buteo desertorum*) z gatunku ptaków, w Niemczech niesłychanie rzadko spotykanych.

Przeważna część ptaków drapieżnych odbywa podróże zamorskie wtenczas, kiedy do tego nakłania je instynkt wskazujący im stan pogody, a z nim i zmianę aury. Wcześniejszy ciąg ptaków z północy wskazuje napewno, że tamże nastąpiły silne mrozy; wysokie śniegi zakryły płaszczyzny a utrudnione wyszukiwanie pożywienia spowodowało wcześniejszy odlot ptactwa.

Dla tych przyczyn, okolice, do których ptaki te wcześniej zawitały, mogą napewno się spodziewać wcześniejszej, niż zwykle, i ostrej zimy. Napoleon I. nie korzystał ze wskazówki nader wczesnego ciągu ptaków we wrześniu pamiętnego i nieszczęśliwego 1812 roku — wskazówki ptaków, tak wcześnie na południe ciągnących, uchroniłyby były zwycięską armię od klęski pod Moskwą.

Znaczny wpływ na kierunek drogi, obranej przez ptaki, mieć może znalezienie po drodze dużej ilości pożywienia, w postaci myszy, chomików itp. Stworzenia te, jak wiadomo, stanowią przeważną część pożywienia ptaków drapieżnych.

Wynika z tego, że co do pory, w jakiej z puchaczem polować należy, nie wiele stanowczego powiedzieć można. W czasie ciągów godziny ranne (od wschodu słońca poczynając) i wieczorowe (na dwie godziny przed zachodem słońca), wyzyskiwać jednak należy. Niektóre drapieżniki, np. *Milvus regalis* (kania wielka) najlepiej w samo południe na puchacza uderzają, błotniaki tylko wieczorem z pod puchacza bić można, najgroźniejszy rozbójnik — gołębiarz *Astur palumbarius)* tylko bardzo wczesnym rankiem nad budką się pojawia i t. d.

Co do pogody, to tylko powiedzieć można, że najkorzystniejszym jest południowo-zachodni łagodny wiatr, czyste powietrze przy niezbyt piekącem słońcu.

Ileż to jednak razy zdarza się, że wśród pogodnego nieba, przy lekkim południowo-zachodnim wietrze i czystem powietrzu, szybuje mnóstwo ptactwa różnych gatunków, lecz żadne z nich na zaczepkę się nie odważy. Skąd to pochodzi — zagadka to, dotąd nierozwiązana. Ogólnie zaś można powiedzieć, że wyżej wymienione warunki pogody najwięcej szans przedstawiają.

Przeciwnie zaś, nieraz zdarzało się amatorom tego rodzaju polowania, że przy odmiennych warunkach pogody, osiągali bardzo dobre rezultaty. Wiatr dmie nieprzyjazny, kurzawa, gdzie tylko rzucisz okiem na szerokim widnokręgu, ani śladu ptaków nie spostrzegasz — zaledwie jednak krótki czas upłynął od wejścia do budki z puchaczem, a ze wszystkich stron nadlatuje ptactwo.

W czasie lęgów puchacz jest zupełnie ignorowany przez ptactwo drapieżne, a nawet i przez wrony, które zresztą przez cały rok w zwykłych warunkach z budki strzelać można.

O ile dobre i pewne strzelanie do zwierzyny osiąga się częstem polowaniem, i tylko wprawą dojść można do świetnych rezultatów, o tyle też tylko przez dłuższą praktykę dojść można do zupełnego nieomal wystudyowania róż-

nych sposobów strzelania z budki, strzelania w warunkach bardzo trudnych i odmiennych, gdyż tylko przez mały otwór widzimy atakującego ptaka, w różnych pozycyach, tak wzlotu, jakoteż i opuszczania się na puhacza. Tutaj nadmienić należy, że każdy rodzaj ptaków posiada odrębną indywidualną właściwość zachowania się, czy to zdala przed puchaczem, czy też nad samym puchaczem.

Puchacz, *Strix bubo*, *Bubo ignavus*, *Bubo maximus*, — należy do rodziny sów uszatych *(Buboninae)* i z nich jest największy. Polska jego nazwa pochodzi od naśladowania głosu, jaki wydaje: „puhu". Niemcy nazywają puhacza: „Uhu", Anglicy bardzo charakterystycznie: „Eagle owl" — sowa-orzeł, Francuzi: „Grand duc". Długość jego wynosi 63—77, szerokość 150—176 ctm.; bogate i gęste jego opierzenie jest w górnej części ciemno-rdzawo-żółte, czarno podpalane; uszy są czarne, żółtem wewnątrz obwiedzione, skrzydła i pióra w ogonie znaczone są brązowymi i żółtymi punktami. Nadzwyczaj błyszczące, wielkie, ogniste oko puhacza jest koloru od złoto-żółtego aż do pomarańczowo-czerwonego; rozciągliwa nadzwyczaj źrenica jest zupełnie czarna. Dziób bardzo silny, krótki, mało zakrzywiony, łapy bardzo silne, opatrzone potężnymi, mocno zakrzywionymi pazurami.

Samica jest rozmiarem nieco większa, jak to ma zresztą miejsce u wszystkich drapieżników. Ptak ten znajduje się u nas w paru zaledwie miejscowościach: w Ordynacyi Zamoyskich, w lasach Starachowickich i w Augustowskiem.

Puhacz poluje jedynie nocą, jest równie zręczny, jak silny, i nie waha się bynajmniej siłę swoją i żarłoczność na większych stworzeniach wypróbować. Cicho płynąc nad ziemią, z lekkością wzbija się również na wielkie wysokości. Chwyta zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, kaczki i gęsi. Nie pogardza wronami, krukami, a nawet kolczatym jeżem, zjada przytem myszy i szczury w wielkich ilościach. Faktem jest, że śpiące ptaki łopotem skrzydeł i kłapaniem dzióba do lotu zmusza i w locie chwyta. Puhacz rzadko kiedy daje się ułaskawić; względem tego, kto go karmi, jest on równie dzikim, jak względem każdego, kto się zbliża do klatki.

Żadna z sów nie jest tak powszechnie nienawidzona jak puhacz; wszystkie dzienne ptaki, a nawet i niektóre sowy, drażnią go i uderzają na niego, skoro go tylko spostrzegą. Ptaki drapieżne biją na puhacza, nie zważając na niebezpieczeństwo, kruki zaś i wrony zgodnie się pod tym względem z nimi łączą.

Puhacz żywy, przy tego rodzaju polowaniu, może być zastąpiony wypchanym, jakkolwiek polowanie takie przedstawia o wiele mniej przyjemności. Mniej bystre ptaki tak samo uderzają na wypchanego puchacza, jak i na żywego; w „Deutsche Jäger Zeitung" i w „Waidmann" spotykamy opis takich wypadków. *Falco subbuteo* (kobuz) wybija pseudopuhaczowi jedno z jego szklannych oczów, a gołębiarz (*Astur palumbarius*) ucieka z oberwanym przez siebie łbem sztucznego puhacza.

Często też przeoczy się sposobność, jaka nadarzyłaby się z żywym puhaczem, który z dalekich jeszcze przestrzeni, dokąd oko ludzkie nie sięgnie, dostrzega zbliżającego się drapieżnika. Dla doświadczonego myśliwego wystarczy ruch głowy puhacza, jego zezowanie, krzywienie się, przymykanie oczów i różne komiczne ruchy, jakie wyprawia dopatrzywszy zbliżającego się nieprzyjaciela. Większe zaniepokojenie się puhacza ostrzega myśliwego, że może spodziewać się niebawem poważniej atakującego drapieżnika. Puhacz przestępuje wtedy z nogi na nogę, kierując swe potężne oczy ku nieprzyjacielowi; w chwili, poprzedzającej zaczepkę zeskakuje z palika na ziemię i nadyma się, tworząc nieforemną figurę; wobec zaś sokoła lub gołębiarza przewraca się na wznak, do walki się szykując.

Zachowanie się ptaków drapieżnych wobec puhacza zależy od temperamentu danego indywiduum, wieku, rodzaju, pory roku, fizycznego ustroju, głodu — wreszcie doświadczenia ptaka

Każdy zaś rodzaj drapieżników ma swoją odrębną, zawsze jednakową taktykę atakowania puhacza. I tak:

Orzeł przedni *(Aquila fulva)* i sokoły, w szczególności zaś sokół wędrowny *(Falco peregrinus)*, uderzają na puhacza z bardzo wysoka, z niesłychaną gwałtownością.

Orzeł cesarski (*Aquila imperialis*) nie uderza nigdy, okrąża tylko, z wysoka się puhaczowi przyglądając.

Gołębiarz (*Astur palumbarius*), ten najgorszy, krwi łaknący rozbojnik, uderza zawsze z boku, znienacka, po kilka razy wracając, zawsze z innej strony.

Błotniaki *(Circus)* krążą z daleka i siadają w bliskości nigdy nie atakując.

Myszołowy (*Buteo lagopus*, *vulgaris*, *desertorum*) zachowują się rozmaicie, przeważnie zaś trwożliwie.

Kania wielka (*Milvus regalis*) długo krąży, aby znienacka uderzyć przy zachowaniu wielkiej ostrożności.

Nawet pokrewne puhaczowi sowy: puszczyk (*Syrnium aluco*) i sowa uszata (*Otus vulgaris*), gdy zmrok zapadnie uderzają na puhacza.

Kruk często uderza i dzióbem atakuje puhacza.

Wrony podnoszą wielkie krakanie i całemi stadami nad puhaczem przeciągają, pożyteczne natomiast gawrony *(Corvus frugilegus)* zupełnie na puhacza uwagi nie zwracają.

Zachowanie się, czyli t. zw. „markowanie" puhacza wobec atakujących drapieżników zależy prawie od tych samych wyżej wymienionych przyczyn.

Największej i najobfitszej w rezultaty przyjemności dostarcza puhacz samczyk, dwu lub trzyletni.

W północnych Niemczech puhacze mało gdzie się lęgną; upolować tak zwanego gniazdowca należy do rzadkości nadzwyczajnych. U handlujących tego rodzaju ptakami, a mianowicie specyalistów, oddających się chowaniu puhaczy, ceny dochodzą od 30 do 40 marek za sztukę. Okazyjnem kupnem można już nazwać cenę 20 marek.

Nabywanie dwuletniego lub trzyletniego samca o tyle jest korzystniejszem, iż śmiertelność młodych jest znaczna, szczególniej do dwóch lat.

Przy troskliwej opiece, umiejętnem użyciu, a szczególnie w odpowiedniem schronieniu puhacze nawet w niewoli od 10 do 15-u lat służyć mogą. Ze starością wzrok ich się przytępia i mniej są czujne i wrażliwe na zaczepki nieprzyjaciela, dlatego też młodszy okaz stanowi znaczną przewagę nad starym.

(Dok. nast.).

KORESPONDENCYE.

Tatarynów w lipcu 1896.

(Tortury języka myśliwskiego.)

„Nie jestem koniarzem“ — przyznaje się szanowny korespondent z Warszawy w czerwcowym numerze „Łowca“, wylewając cały strumień żalu z powodu kaleczenia i torturowania języka ojczystego w wyrazownictwie wyścigowem. Ja również nie jestem koniarzem w tem znaczeniu, bo oprócz szlachetnej gonitwy przy współudziale tego zwierza za kawałkiem chleba na ojczystym zagonie, innej gonitwy dotąd nie uprawiałem; ale nawet jako zupełny profan w tym kierunku sądzę, że nasz poczciwy rumak, wstąpiwszy na arenę wyścigową, nie potrzebuje się tłumaczyć w języku niezrozumiałym, już nietylko dla polskiego hodowcy, ale nawet dla logicznie myślącego lingwisty. Coś tam już o tej szkodliwej manii pisał swego czasu mistrz naszej komedyi, któremu naród obecnie pomniki stawia, a jednak serdeczna krytyka przebrzmiała, zabrakło ostrego strychulca i wybujało monstrum, zacierając do szczętu świetne tradycye naszego języka hipicznego, utworzył się jakiś zlepek dorobkowy, nie licujący wcale z prastaremi dziejami konia u narodu, któremu przez długie wieki „było najlepiej i najbezpieczniej w kulbace.“

Ale już dosyć tego! Nie chcę się powtarzać, zapuszczając się po wzmiankowanej korespondencyi w matnię wyścigowego konglomeratu, a raczej dotknę więcej mi znanej kwestyi gwary myśliwskiej. Tu się czuję nieco pewniejszym, bo „czasem jestem myśliwym“, lecz z żalem widzę, jak nasza bogata, prastara i piękna gwara zawodowa coraz to większemu ulega skażeniu, i wyradza się w sposób, zrozumiały chyba tylko na gruncie przypomnienia dźwięków, których wprowadzenie wcale nie może być pożądanem, a już wcale nie sympatycznem.

Autor korespondencyi „o języku na torturach“ pod znakiem (J) przypomniał mi pewien epizod, jakich wiele; uchodzą one bez krytyki, bo zabrakło strychulca do poskramiania zapędów pod względem wypaczania drogich przeszłości pamiątek.

W najgorszym na świecie humorze, o czem mogą dać niejakie wyobrażenie okoliczności, wywołujące tego demona — załamawszy się na rzece, którą kilka razy przejeżdżać musiałem (bo mostu nie ma za co postawić) — dobiłem się wreszcie do małej stacyjki kolei w zamiarze gonitwy..... za szczęściem w świat dalszy. Wsiadłszy do próżnego przedziału II klasy (bo tego wymaga kredyt) — przeżuwałem zgryźliwie wspomnienia przebytych w domu wrażeń, bo ów lód załamany i przymusowa nasiadowa kąpiel, gdy słońce już w zodyakalny znak wodnika wstąpiło, to fraszka dla sarmackiej skóry, a zresztą *naturalia non sunt turpia* — Ale te domowe wspomnienia, ten kupiec w dzień wyjazdu ze swą ofertą na zboże, i ten egzekutnik z jakąś pretensją „Stempelstrafy“ — zresztą obaj, jakby dla ironii losu, ludzie dość przyjemnej postaci — to wszystko razem, w miarę powiększania się perspektywicznej oddali, usposabiało mnie nader elegijnie, a jednostajny rytmiczny turkot żelaza towarzyszył smutnym myślom.

Co dalej będzie? Czego tam jeszcze możemy się spodziewać od tych naszych bratanków z błogosławionej Arpada krainy? Kartofle i mąkę już sprzedają, z jaką jeszcze dalszą konkurencyą wsadzą się nam pod żebro?...

Lecz nie miałem czasu wymyśleć jakiejkolwiek odpowiedzi na cisnące się zapytania, bo właśnie pociąg zatrzymał się przy jakiejś budce, z której wyskoczyło trzech mężczyzn z piórkami na kapeluszach, a za nimi niosło dwóch posługaczy mnóstwo pudeł i pudełek niewątpliwej treści. Był to powrót z wyprawy Nimrodowej.

Towarzystwo to, rozsiadłszy się całkiem wygodnie w moim dotychczasowym przedziale, prowadziło dość obojętnej treści rozmowę w najczystszym języku polskim — tak, że o narodowości tych panów nie mogłem mieć najmniejszej wątpliwości. Lecz wnet, widocznie pod świeżem wrażeniem, rozpoczęła się gawędka o przygodach myśliwskich, którą w głównych zwrotach tutaj jako mimowolny świadek powtarzam.

Jeden z tych Polaków „stojąc na wekslu“, strzelał do dzika, „anszus“ był dobry, bo zwierz „poszwajsował“ na „obie strony“ lecz poszedł.

Drugi młodziutki, pełen nadziei, także Polak i widocznie znakomity strzelec, swym „Springerem“ wybrał „kapital-bocka“ z „rudla“ sarn, i strzeliwszy na „blatt“ „zrulował go.“ Trzeci, już jakiś stary pan, po „zrulowaniu“ kilku zajęcy i lisów, doczekał się wreszcie dzika — uśmiercił go i przekonał się już na trupie, że „kula dobrze siedziała“ i t. d. I w dalszej rozmowie przyznawali się moi towarzysze jazdy do coraz to większego znawstwa terminologii, obliczali „sztrekę“ itp., z czego może najbardziej uradowałby się nasz wielki przyjaciel z Friedrichsruhe, bo przekonałby się u schyłku swej ziemskiej pielgrzymki, że Polacy przecież nie są tak źli, jak mu się to zdawało.

Opuściłem wreszcie me towarzystwo, dojechawszy do celu, a te wszystkie zapełniające mózg mój monstra językowe byłyby się wreszcie stoczyły w przepaść niepamięci, lecz je wyratowałeś, szanowny panie J. z Warszawy. Dzięki ci zatem tajemniczy mentorze, że spisałem te wspomnienia!

Nie należę bynajmniej do szowinistycznych purystów (jak świadczą oba ostatnie wyrazy) i nie byłbym krzyw wprowadzeniu nowych nazw, jakich postęp praktyki i duch kształcącego się języka wymaga, ale nie kaleczmy języka tam, gdzie najmniejszej ku temu nie ma przyczyny — nie szerzmy wyrazów obcych nietylko w piśmiennictwie zawodowem, ale także i w mowie potocznej, bo tem szarpiemy odrębność mowy ojczystej, przerywamy nić, wiążącą dawne i młode dzieje myśliwstwa polskiego.*)

---

*) Redakcya „Łowca“ bije się także w piersi, mówiąc: “Mea cupla, mea maxima culpa“, bo i w szpaltach jej pisma zawieruszą się nieraz wyrazy w nowszych czasach naleciałe, któreby albo wyrazami z dawnej gwary, albo lepszymi nowożytnymi zastąpić należało Skoro więc idzie o poprawę, to Redakcya „Łowca“ uważa za wskazane, rozpocząć ją od siebie — prosi wszakże zarówno łaskawego autora niniejszej korespondencyi, jak w ogóle wszystkich wytrawnych myśliwych, u których język narodowy tkwi w krwi i kościach, z najlepszych tradycyi odziedziczony, aby idąc za wnioskiem korespondenta nie samą krytyką i negacyą na poprawę wpływali, lecz do skarbnicy języka dodawali po cegiełce, wskazując d o d a t n i o,“ jak mówić i pisać i jakich wyrazów w myślistwie używać należy. Szanowny korespondencie, prosimy zacząć! [Przyp. Red.]

Przeto: *Caveant consules*, aby ten drogi pomnik przeszłości nie zatarł się w tych mętach, gdzie już tyle się zatarło, aby się kształcił i bogacił dalej materyałem na własnej niwie zebranym!

Mnóstwo wyrażeń dawnej gwary z biegiem lat i odmianą stosunków straciło wszelką dla praktyki wartość, bo przestał istnieć przedmiot wyrazem określony — natomiast z biegiem czasu okazały się w wielu miejscach luki, których wypełnienie w sposób sympatyczny jest zadaniem polskich myśliwych, miejscem porozumienia zaś mogłyby tu być karty organu zawodowego, a polubownie obrany areopag, po wysłuchaniu wszechstronnej dyskusyi, głosiłby wyroki, których wykonalność zależałaby już od dobrej woli kół myśliwskich. W ten sposób każdy nowy wyraz, którego nam nie przekazała dawna gwara, wychodziłby przynajmniej z dobrej kuźni po starciu się rozmaitych zdań, byłaby to w każdym razie Heziodowska *agate eris* — spór o dobrą sprawę — spór o skromną bodaj nitkę utrzymującą ojczyste tradycye — bo

„Oto ojczyzna — za jednym wyrazem
Wszędzie cząstkami i pospołu razem."
(Nocleg Hetmana część II.)

Władysław Spausta.

KRONIKA.

Spotkanie z niedźwiedziem. Z Jaworzyny w Wysokich Tatrach piszą: Dość niemiłe spotkanie miał leśniczy ks. Hohenlohego. Przechodząc przez rewir leśny, przeznaczony na schronienie grubszej zwierzyny, który obejmuje dwie i pół mili kwadratowych obszaru i posiada zwierzostan złożony z 500 jeleni, nagle o trzy kroki od siebie ujrzał wychodzącą z po za skały niedźwiedzicę. Nieprzygotowany na taką przygodę, bo miał tylko jedną lufę śrutem ptasim nabitą, stanął jak wryty i oczekiwał ewentualnej zaczepki ze strony zwierzęcia. Gdy niedźwiedzica ujrzała stojącego, mrucząc i zgrzytając zębami zawróciła w gąszcz leśną. Wtem uwagę leśniczego zwrócił szmer w górze. Podniósłszy głowę, ujrzał trzy młode niedźwiadki, bawiące się w koronie drzew. Po chwili widział, jak niedźwiedzica zwabiła małe z drzewa i zniknęła z nimi w załomach skał. Ponieważ niedźwiedzie nie trzymają się stale w Wysokich Tatrach, domyślają się, iż przybyły one tam ze wschodnich części Karpat.

Wyścig gołębi pocztowych urządzono 28. czerwca w Krakowie. Po 9-dniowem internowaniu gołębi w Krakowie, wypuścił je w niedzielę o godz. 6. rano komendant stacyi g łębiej w Krakowie, major Träger. Pomimo, że pogoda nie sprzyjała, przybył pierwszy gołąb do Wiednia w 4 godzinach i 49 min., po krótkich pauzach przybyły i inne gołębie. Linia powietrzna Kraków — Wiedeń wynosi 329.400 metrów, pierwszy gołąb przeleciał więc w minucie 1131.8 metrów. Z ośmiu rozpisanych nagród otrzymał pięć p. Fryd. Schmidt, a dwie p. Aleks. Zimmermann.

Słynny myśliwy Wetzel, ogłaszany za najlepszego strzelca na świecie, umarł niedawno w Kochinchinie. Przebywając tam przez 22 lata, położył trupem przeszło 120 tygrysów i lwów i 70 słoni. Mniejszych sztuk nie liczył wcale.

Dla amatorów psów. W dobrach Suliszewie, położonych w powiecie skierniewickiem (Król. pol.) właściciciel majątku p. Al. Nitkowski, założył zarodową psiarnię pod firmą: „Dyana". W Suliszewie hodowane będą przeważnie wyżły i pointery.

Środek na choroby skórne u psów. Najprzykrzejszemi z chorób u psów, są choroby skórne: otóż *pro bono publico* wszystkich psów, dostajemy od jednego z weteranów łowiectwa receptę w tym względzie z prośbą o umieszczenie. Recepta brzmi:

Trzy łyżki wazeliny i na koniec noża jodoformu, roztarte na maść, usuwa wszelkie choroby skórne u psów. Środek ten jest tak skuteczny, że godzi się go rozpowszechnić. Używałem go i u koni z równym skutkiem. *J. K.*

Małpa i cukier. Że zwierzęta nietylko instynktem się kierują, ale i rozwaga u nich we wielu wypadkach działa, nieraz było wypadkami udowodnionem. Takiem zdarzeniem, illustrującem rozwagę, jest następujące:

Pewien angielski pułkownik, który dłuższy czas w Indyach mieszkał, miał oswojoną małpę, która swobodnie wszędzie biegała i jak wszystkie małpy ciekawą była i cukier nadewszystko lubiała. Raz dano jej mocno zakorkowaną flaszkę, w której był kawałek cukru. Komiczny był widok usiłowań małpy, która chciała do cukru się dostać, najpierw próbowała go dostać przez wstrząsanie, potem kąsała flaszkę i korek, przewracała się z nią na wszelki możliwy sposób, odrzucała ją w gniewie, a przesiedziawszy kilka chwil zadumana, chwytała ją znowu, by w inny sposób szczęścia próbować. Zesmutniała, nie chciała jeść, tylko z flaszką pod pachą usiadła w ciemnym kąciku i zasnęła. Na drugi dzień rozpoczęła znowu manipulacyę z flaszką, przyczem przypadkowo strąciła szklankę z konfiturami z bananów na ziemię. Flaszka roztrzaskała się w drobne kawałki. Z początku małpa się przestraszyła, ale nagle szczęśliwa myśl błysła w jej głowie. Podniosła flaszkę dwoma rękami w górę, rżnęła nią o ziemię, flaszka rozbiła się, i małpa zjadła z zadowoleniem ciężko zapracowany kąsek.

Szczególny wybór. Słowiki na jednem z przedmieść paryskich uwiły sobie gniazdko w skrzynce pocztowej, należącej do pewnego domu handlowego. Otwór przez które wrzucano listy, wynosił 2 cent. wysokości i 15 szerokości; przez ten właśnie otwór dostała się do skrzynki para słowików i uwiła sobie gniazdo w jednym kąciku. Ptaki te w skrzynce gościły kilka tygodni. Kiedy służący otwierał skrzynkę, aby wydostać z niej listy, samiczka siedząca na jajach uważnie śledziła ruch jego ręki, znajdującej się o kilka centymetrów od niej, ale nie opuszczała miejsca. Rodzina słowicza z zaimprowizowanej siedziby ulotniła się, gdy młode ptactwo było w stanie opuścić gniazdo.

Nowy mamut. *Agencya rosyjska* donosi, że profesor Kaszczenko wykopał w pobliżu Tomska szkielet mamuta z wyraźnymi dowodami współczesnego istnienia człowieka. Okazuje się mianowicie według twierdzenia uczonego rosyjskiego, że mamut ten został zjedzony przez ludzi. Profesor Kaszczenko pszedstawi referat w tej sprawie petersburskiej Akademii umiejętności.

Dla łosiów w Ybenhorście zdaje się zbliżać nieubłagana godzina zatraty. Ostatnia zima była dla nich zabójczą; o 20 do 25% spadła ich cyfra. Szczególniej z początkiem lutego, gdy po wylewie wód pocisnął mróz, padało wiele łosi na lodzie i kaleczyło się ciężko, tak, że nie mogły się dźwignąć i ginęły z głodu i zimna. Niektóre okaleczałe musiano dobić. Przy wiosennych zaś wylewach, dość niespodziewanych, utonęło kilka słabszych cieląt. Z początkiem czerwca przybyło wprawdzie trochę cieląt, ale nie zapełni to znacznego ubytku. Do dziesiątkowania łosi przyczynia się także szczególne ich oswojenie się z człowiekiem, co oczywiście ułatwia kłusownikowi zadanie. Nawet pod mieszkania ludzkie przychodzą biedne łosie na sto kroków i bliżej i nic sobie nie robią ze szczekania kundysów wiejskich.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.